

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES
POLONAISES
HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ROK I. — NR. 4. — PARYŻ,
NIEDZIELA, 7 KWIEŹNIA 1940

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,
52, avenue des Champs-Élysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Métro: Marbeuf.

Codzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto w Banku Polskiej Kasy
Opieki (23, r. Taitbout) nr. 72.

CENA PRENUMERATY :

We Francji kwart. 35 fr., półroc. 65 fr., rocz. 125 fr.
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglii 6 s. 6 d., w Belgii — 8 belgów, w Danii, Norwegii i Szwecji — 7 koron, w Holandii — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 45 piastrow, w Rumunii — 400 lei, w Szwajcarii — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengő, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

P U H A C Z *)

WEDŁUG OPOWIADANIA
PORUCZNIKA D.

— Siedzieliśmy na lotnisku polowem pod Warszawą koło Jabłonn. Miejscowość ta nazywała się w naszym sztyrowym języku: Zyto. Niedaleko stał dwór jak z powieści, z orłem polskim w wielkiej sieni wejściowej, z karabelami na ścianach. Maszyny nieśmiesznie ukryte w lesie, czas był przepiękny, kwatery jak na wycieczce. Jadaliśmy z kotła, spaliliśmy na słomie. Poprostu sielskie wakacje. Było to na dwa dni przed wojną...

Mój rozmówca uśmiechnął się pogodnie. Jego sucha twarz stanowiła pomieszanie ascezy i dzieciństwa. Z bystrych oczu wycierała młodociana, wesoła ciekawość, przedwczesne brzozy przecinające policzki kryły surowość i powagę. Kontrasty te nie budziły niepokoju, raczej rozpraszały się zajmując w szczerzej twarzy. Znalaliśmy się jeszcze bardzo mało, ale od razu zwróciła moja uwaga jakaś szlachetność i czystość wyrażona w tym człowieku, jego cenny kruszec ludzki.

Ze swoich dwudziestu pięciu lat pewnie jedną trzecią życia poświęcił powietrzu. Kiedyś odbił się od ziemi na szkolnym szybowcu i oddał wracał na nią, by marzyć o niebieskim poligonie. Był zakochany w lotnictwie, uchodził za asa wśród myśliwców. Należał do eskadry «Puhaćów», która broniła Warszawy. Maszyny ich nosiły na kadłubie podobiznę tego ptaka, niby herb rodowy. Zestrzelili cztery samoloty niemieckie, które nazywano sowami, widocznie żeby nie wywołać pożałowania. Upadek ich ustalono na naszych terenach; zapewne nadszarpnął i inne, które zdolały uciec pościgowi i na chwiejnych stacjach dotarły do swoich linii.

— Latałem wszystkiego siedemnaście dni, — mówił mi, — ustrzelilibyśmy jeszcze cośś, ale czasu nie starczyło.

Porucznika D. odnalazłem w małym hotelu paryskim. Mieszkał tam z kolegami pozostałymi z eskadry. Do Paryża zjeżdżaliśmy zewsząd, gdzie ich wojna zagnała. Była to osobna epopeja pełna przygód, przekraczających granice fantastycznych podróży. Jak kiedyś latali trójkami, tak samo teraz snuli się gromadnie po Jardin des Plantes i Lunaparku. Byli to młodzi, weseli chłopcy, pełni prostej uciechy życia, aż za mało niezwykli i nadzwyczajni, jak na swój zawód, odwagę i przejścia.

— Wojna zaczęła się wcześniej, koło siódmej rano. Poderwali nas na alarm, spod śmigieł podniósł się kurz polny, przez chwilę nie było widać. Krążyliśmy długo w chmurach, kierowani sygnałami radjowymi, no i tak się zaczęło...

Porucznik przeszedł po pokoju i uśmiechnął się znnowu, jakby ten początek miał być końcem opowiadania. Pewien czas krążyliśmy koło tematu, niepewni samych siebie, jakby także w chmurach nieśmiałości, potem same wypadki porwały nas swoim rozpędem, mnie podniecała ciekawość, jego ponosiły wspomnienia, i tak pod żółtymi taflami hotelu, w szarym dniu zimy paryskiej, gromadziło się zwolna tamto powietrze, gorące od wrzesniowego upału, pełne minionych wydarzeń nad ziemią, tak błyskawicznie szybkich, że nawet pamięć ludzka nie może ich dokładnie zapisać.

— To trudno opowiedzieć, — ciągnął z uwagą, — bardzo trudno. Podczas krążeń zobaczyłem nagle jak wychodzi z chmury Dornier 17. Bombowiec niemiecki, pierwszy przeciwnik spotkany oko w oko. Wydał mi się czarny, leżał krzyżem na zakręcie. Pyta się pan, jakie to robi wrażenie? Czy ja wiem? Coś gwałtownego, ale bez dostatecznej świadomości. Coś pomiędzy gniewem a zdumieniem. Na nic się wtedy niema czasu. Pamiętam, przeleciało mi przez głowę: jakim prawem, tu w tem powietrzu, nad tą ziemią?! — i już się urwało. Bo coż pozatem? Od ruchy mechaniczne, sam instynkt i sam smak walki. Dornier był blisko, dobrze ustawiony na cel. Wziąłem poprawkę, dałem serię z karabinów. Czarny krzyż przechylił się stromo na skrzydło i zsunął się w dół, więcej go nie widziałem. Znikł w chmurach.

— To był pana pierwszy tup?
— Chyba nie. Może zdołałem go dotknąć gdzieś, ale nie przypuszczam, aby leżał na naszym polu. Nieważne spotkanie, tyle tylko że pierwsze

w życiu. Zaraz potem narwałem się na coś większego. Szukałem jeszcze w chmurach mego Dorniera, gdy zobaczyłem nagle dwa inne. Poszedłem za nimi jak mogłem najszybciej i ustawiłem się do ataku. Naraz obokoczyły mnie trzy myśliwce. To tak jakbyśmy naprzykład kapali się w morzu, płynął chłodną falą i nagle ocknął się w ukropie. Przyjąłem walkę i poszedłem na pierwszego łeb w łeb. Lecieliśmy ku sobie jak na zderzenie. Wtedy dopiero pojąłem, że moimi partnerami są Messerschmidty 110. Djabełski przeciwnik! Przewyższa nasze myśliwce szybkością i ogniem. Ma dwuosobową załogę, sprzodu strzela pilot, styłu strzelec. Nasz PZL jest bardziej zwrotny, co w walce znaczy swoje, ale mieć trzech takich przeciwko sobie, to trochę za wiele. Teraz opowiadam to panu spokojnie, w powietrzu o tem się nie myśli; człowiek składa się z ułamków sekundy, wszystko zależy od setnej jej części.

— Stuchalem go jak przybysza z innej planety. Uprzymiłem sobie, że wobec lotników ma się zawsze pomieszane uczucia strachu, podziwu i obcości. Zapewne dlatego młody oficer wydawał mi się niedostępny i jednocześnie poręczający.

— Byliśmy niedaleko siebie — ciągnął dalej. — Strzelalem bez przerwy, celując w przód kadłuba. Zbliżenie rosło błyskawicznie. Gdyśmy znaleźli się tuż przy sobie, trzeba było wybierać. Karambol albo ustępstwo. Messerschmidt poderwał się pierwszy, przeszedł nade mną. Widziałem nity i spodenki blach na jego kadłubie, rzuciło mi się na wirach. Byłem tak zacietrzewiony, że ochłonąłem dopiero po chwili. Opał krążył dwa inne Messerschmidty. Wystrzelilem już amunicję i zszedłem nadół. Miałem cztery dziury w skrzydle i postrzelane śmigło.

— Mówił to bez żadnej afekcji, niemal oschłym tonem. Sucha twarz pasowała szczególnie do tych prostych słów, a ich jakby kronikarska obojętność oddawała zapewne tak samo ścisłe wypadki powietrzne jak spokojną mekkość młodego człowieka.

— Zaraz potem wystartowałem znnowu. Sygnalizowano nalot. Niemców krążyło nad Polską tyłu, że niedługo trzeba było ich szukać. Lecieliśmy w trójkę z dwoma podoficerami. Natarliśmy razem na samotnie ciągnący bombowiec, wybiły widocznie z sztyku. Był to piękny atak. Zaczęło się nad chmurami, każdy z nas miał Niemca przez chwilę w obstrzale, potem zesłaliśmy pod chmury i gnałszy go wprost na naszą artylerię przeciwlotniczą. Kto ustrzelił sowe, trudno ustalić, dość że poszła kamieniem w dół. Tam, pod nami widać było linję Wisły, Warszawę i ciemne kłębowaiska pożarów, zwolna wnoszących się ciężkim dymem w powietrzu.

Mój pilot zakreślił rękami zarys wysokości stożków, jakby umieszczał te pożary na żółtych tapetach pokoju.

— Ale dopiero popołudniu zaczęła się prawdziwa robota. Koło piątej alarm. Poderwałem się pierwszy, ciągnąłem w górę, byle przed, byle przed. Moi towarzysze nie mogli widać nadażyć i dołączyli się do innych kluczków. Byłem sam. Wyszedłem na cztery i pół tysiąca. Słońce miałem za sobą, tak że nie tylko mnie nie oślepiło, lecz jeszcze chroniło przed nieprzyjaznym okiem. Wdole podo mną wisiały warstwy różowych cumulusów. Były to świetne warunki do walki. Bo jeśli niebo jest dla lotników tem, czem ziemia dla piechury, to chmury są jakby naszymi górami i lasami, rozmaitością terenu i osłony. Niemcy ciągnęli w nienagannej szykach, najbliższe miały leciano żółtawym pięć Heinklów. «To ci bombardują Warszawę» — przeszło mi przez myśl. Ostatni z prawej strony odstawiał nieco od reszty. Byłem nad nim jakie tysiąc metrów w górę. Upatrzyłem go sobie i puściłem maszynę w dół. Należało mu «siaść na ogonie», jak się u nas mówiło, to znaczy zaatakować go styłu, wtedy najpewniej się strzela. Miałem dogodną pozycję, spadałem prosto na Niemca. Szybkość moja zwiększała się fantastycznie. Przez mglenie pomyślałem, że zwalę się na niego i że rozbijemy się oją. Niemiec jednak wyszedł przede mną, ja wyrównałem za nim samolot z lotu nurkowego, aż mnie zamroczyło. Gdy znalazłem się za Heinklem, ocknąłem się nagle jakby osnuty złotoczerwonymi nity. «Strzelają do mnie» — pomyślałem odruchowo. Kule zapalające zosta-

wiały w powietrzu dymną ślad i w ten sposób wskazywały strzelcowi którądy lecał. Świetliste pręgi błyszczały w powietrzu i owijały samolot ze wszystkich stron. Przedziwny obraz. Jakbym zaplątał się w sznury, podobne do świecideł, które u nas wieszają na choinkę. Ustawiłem celowniki na kadłubie Niemca. Byłem z nim nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Naciśnięm spusty.

Porucznik zrobił ruch ręką, jakby naśladował tamten z powietrza, zacisnął garść, którą kiedyś objął spusty i drążek sterowy. Jego bystre oczy nabrały ostrości.

— Panie, co to za rozkosz poczuć zapach prochu i fosforu! Oba karabiny grają bez zacięcia. Mam pięset nabojów w każdym, z jednego i z drugiego leci piętnaście kul w ciągu sekundy, czuję że nie idą w próżnię. Nagle przyska mi boczna szyba wiatrochronu, dwa ogniki błyskają koło nóg. Kule zapalają! Sieć błyszczących nitek gęstnieje koło mnie coraz bardziej. Od ognia mam na szybie ostry odbłask, nie widzę już celowników. Rzucam głową w prawo i w lewo, patrzę na dymne nitki moich strażów. Później uprzytomniłem sobie, że każda z tych pięciu maszyn lecących żółtawym białem do mnie co najmniej trzema karabinami, wtedy pilnowałem tylko czy dobrze strzelam i czy przypadkiem nie wjeżdżam żywcem w Heinkla. To działo się tak szybko! Ani się nie spostrzegłem, a już było po wszystkim. Heinkel nagle znikł. Runął przede mną i odsłonił mi wolny widok nadprzodki. Lecieli nurem ku ziemi. Czy pan uwierzy, zdawało mi się wtedy, że słyszę stamtąd jakiś krzyk. Absurd oczywiście! Gdy zszedłem nieco w dół, widziałem jak Niemiec wali się na lasy. Zapalił przedtem chłopską chałupę, pewnie wyrzucił bomby, by ratować się od eksplozji przy upadku.

Porucznik odetchnął głęboko.

— Uf, było mi wtedy bardzo gorąco. Rozpiąłem kołnier z kombinizonu, wystawiłem głowę na wiatr. Postanowiłem wrócić dogóry, wyszedłem znów na cztery tysiące, ucieliłem sobie z tego może pięć minut wytchnienia. Mogłem sobie pomyśleć: «Jeśli teraz ty zleisz, to nie za darmo, jedna sowa upolowana». Ale na radość nie było czasu. Zobaczyłem dwa Dornier, zawiesiłem się

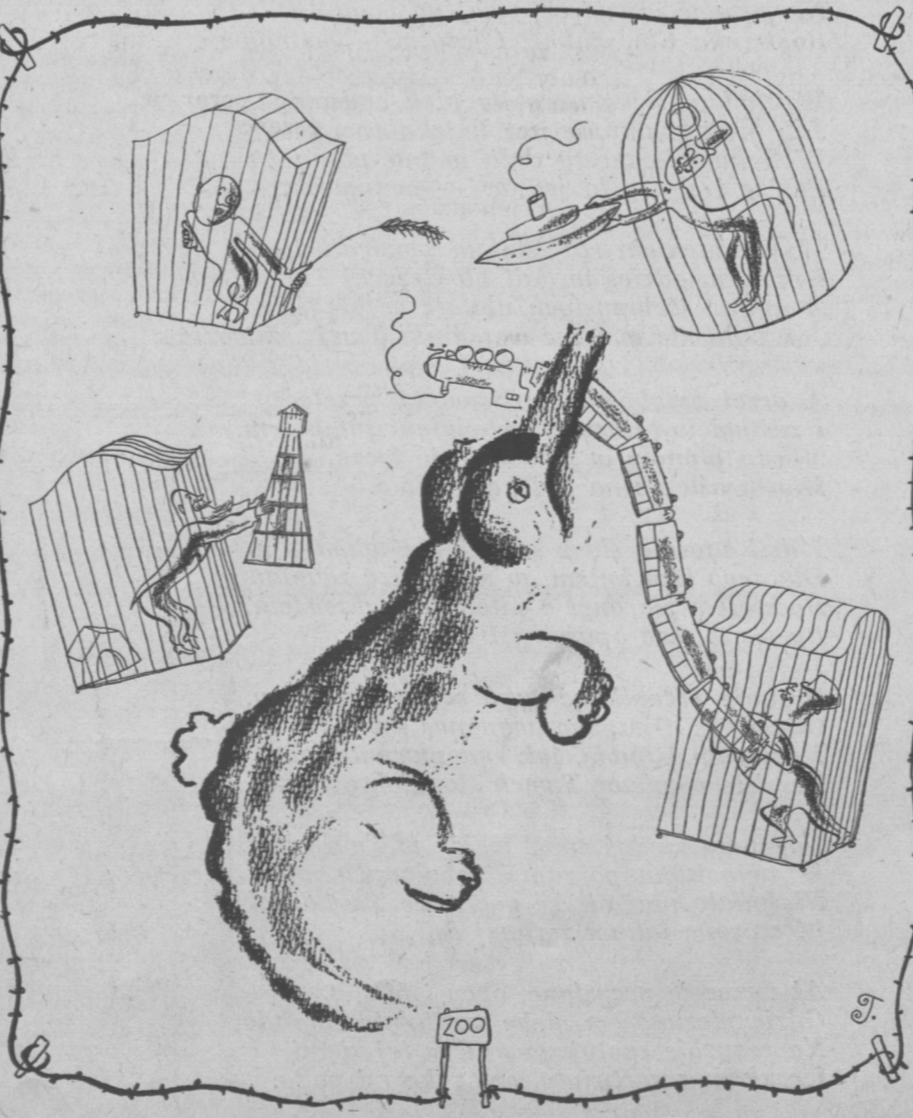
nad nimi i czekałem na sposobność. Znnowu prawy jakoś mi przypadł do gustu, pomyślałem sobie jak pięknie byłoby upolować drugą sowę. Rzuciłem się na niego zgóry, siadłem mu na ogonie, strzelałem długo. Niemiec czuł widocznie ogień, kołował, chciał mi się wywinąć. Nagle poczułem wstrząs i uderzenie w kadłub samolotu, maszyna sama stanęła dęba. Zrobiłem szybki zawrót przez plecy i dopiero wtedy spostrzegłem co się stało. Napadł mnie Messerschmidt, trafił pociskiem z działka i uchodził za chmurę. Dowlokłem się na lotnisko cały poszarpany i postrzelany. Z moją PZL musiałem się rozstać. Wieczorem zaszedłem do dworu. Brakowało nas kilku. Osiemnaście maszyn niemieckich leżało strąconych pod Warszawą, nasze padły cztery. W sali jadalnej na stole leżał młody, nieznan mi podporucznik z eskadry krakowskiej. Zapalił go w powietrzu, wyskoczył z samolotu i gdy zlatywał na spadochronie, ostrzelał go Messerschmidt. Miał w sobie dziewięć kul. Był całkiem szczerzany, leżał bez przytomności. Tej nocy miałem ciężki sen. Kołysałem się cały czas, śniły mi się Messerschmidty, mnóstwo Messerschmidłów, całe niebo było nimi oblane. Startowałem przeciw nim sam jeden, nie mogłem się oderwać od ziemi. Leżałem na niej i kołysałem się, kołysałem się, jakby ziemia była miękka i lotna jak powietrze.

Tak skończył się pierwszy dzień wojny porucznika D., i tak zaczęła się nasza przyjaźń. Widywaliśmy się często, odwiedzaliśmy go w hotelach, poznałem jego dowódców i kolegów. W rozmowach przenosił mi się zawsze z Paryża nad Polskę, podróżując nawspak czasu, poprzez śnieżną i niezwykle mroźną w tym roku zimę nadsekwanąską ku naszej jesieni, wysyłał śród posuchy, owianej dymami pożarów, pamiętnie na wieki.

Muszę się przyznać, że im bliżej poznawałem porucznika, tem częściej wydawał mi się człowiekiem trochę nie z tego świata. Jak wszystkich lotników można go było zrozumieć tylko w połowie przez znanstwo człowieka; resztę łatwiej pozwalała ogarnąć fantazja.

„DRÔLE DE ZOO” CZYLI KARMIEŃIE KROKODYLA

rys. Franciszki Themerson



„Każde państwo neutralne sądzi, że jeśli dosyta nakarmi krokodyla, krokodyl zje je na końcu” (z mowy Winstona Churchilla, wygłoszonej dn. 21 stycznia b.r.)

*) Ze zbioru opowiadań o żołnierzu polskim we wrześniu 1939 r., pisanych dla wydawnictw Informacji i Dokumentacji Rządu Rzeczypospolitej Polskiej.

Cieźszy od powietrza, poruszała się w niem swobodnie, wylatywał w przestrzenie nie dające się wymierzyć okiem i dopiero tam, śród pusłki przeznaczonej na podróże ptaków, wiatrów i chmur, stawał się sobą. Ale nie było to ani awanturujące koczowniczo śród obłoków, ani wlocząca za przygodami samopas po stepach niebieskich. W wolnej przestrzeni nad światem obowiązywał go trudny i nieublagany kodeks walki, tu na ziemi ułożony i przez lata wypróbowany. Musiał być w górę nad przeciwnikiem, mieć go pod sobą; wspinać się szybciej niż wróg lub czatować zawieszony wcześniej pod stropem. Spadał na upatrzonej punkt przed, niż przez nas przechodził myśl o tej szybkości, i celniej, niż własne jego wskazywało oko, bo ciemny punkt poruszała się tak, leciał błyskawicznie i umykał po niedościgłej drodze. By dopaść przeciwnika, trzeba było wyrównać samolot z pionowego lotu prawie prostopadłym lukiem. Manewry te wytrącały ludzki organizm z wszystkich reguł istnienia; przy spadaniu serce pchało się do gardła, a w krtań wdzierał się udar powietrza, ostry jak sztylet; przy wyrównaniu rozszarpało cząstkę i omyło w oczach. A wtedy właśnie zbliżała się ostateczna i rozstrzygająca chwila walki. Należało mieć w sobie niezmagoną niecierpliwość i ponad siły niemal skupić uwagę. Zbliżyć się na sto, na pięćdziesiąt metrów do wroga, wystawić się na jego ogień, mierzyć samemu, przycięć go celnością, strzelać. Zwycięzca lub ginąć.

Tylko nam, ludziom ziemi, powietrze wydaje się nieobjętą pustynią, która zasypuje jest blaskiem i barwami; dla lotnika jest to świat zaludniony przez trwałe kształty. Niematerialne istnienie, rozpostarte naokół, stanowi bogactwo, różnorodną wiedzę, pełną nieznaną nam zasad i wniosków. Każda chmura nosi w niej własną nazwę i życie własnym życiem. Pojedyncze i zwarte, niskie i wysokie, ruchome i zaległe niezmiennie, wszystkie odmiany chmur przepatrzyła ta wiedza i wszystkim określiła znaczenie kodeks walki.

Lotnik naciera jak szermierz idący na przeciwnika, tylko że z bronią, którą włada, związany jest na śmierć i życie. Broń ta łączy w sobie zwrotność szpadzisty z niszczycielstwem torpedy, a właściwości maszyny, do której przypasany jest człowiek, znaczą nie mniej niż cnoty bojowe człowieka. Zdarza się atoli, że lotnik musi dodawać skrzydeł samolotowi. Na sztukę tę skazani byli wszyscy polscy myśliwcy.

Dwu karabinami maszynowym naszych PZL 11 odpowiadał Messerschmidt 110 czterema karabinami i dwoma działkami. Naszej szybkości przeciętnej 300 na godzinę — 500 kilometrów. Naszym 320 samolotom bojowym najeżdźca przeciwstawiał przewagę nie do odparcia. Nad Polską krążyło około 3200 samolotów różnorodnego typu, czyli na jeden polski samolot przypadało 10 niemieckich.

Przewagę tę mogliśmy stwierdzić — za całą dostojnością tego wyrażenia — naocześnie. Kto nie był świadkiem wojny polskiej, nie pojmie jak boleśnie było patrzeć na niebo, na które wyciągały się wrogi bombowce, poprzedzone ciężkim, wielotaktowym fotomet silników, podobnym do jęklivego skrzypu sru, wycinających sobie w powietrzu drogę zniszczenia. Nacierały nad Warszawą w potrójnych kluczkach, po trzy samoloty w każdym, za nimi wynikały nowe trójki i nowe dziewczątki, i tak zdawało się bez końca, aż cały widok pokrywał się czarną szpą nalotu. Niebo stawało się sceną sferycznego teatru, gdzie niezmiernie widowiska jednoczyła się ze zgrozą naprawdę rozgrywanych wypadków.

Powietrze nasze było w istocie wydane najeżdżcom na łup. Jego przejrzystość, dojrzała śród wietlotygodniowych pogód, mieściła w sobie tyle zachwycającego lazuru, ile bezbronnej bierności. Ku ciągnącym stądom niemieckim wylatywały złotoczerwone kule artylerji przeciwlotniczej, widoczne w końcowym swoim locie gołem okiem. Ile żręć biegle ich śladem, ile spojrzeć śpieszyło by im pomóc, zmienić ich kierunek, poprawić celność! Gdy biały kłęb wybuchu docierał do bliskich — jak wydawało się zdół — okolic śmigła, skrzydeł lub kadłuba, zamierał w nas dech; wpatrywaliśmy się w tę przestrzeń powietrza nie oczami lecz całym jestestwem.

Z naszych domów wchłaniałmy

wszystkie boje powietrzne, zbiegając się u okien, mało kto krył się do schronów. Było w tem coś z oczekiwania na wyrok sprawiedliwości, na potępienie zbrodni, na zasłużoną karę boską. Ale ten trybunał, zaiste wysoki, nie znał dla nas prawa łaski. Wróg zdobywał przyrodzone przestrzenie naszej wolności, panoszył się w nich, krążył wielkimi kołami, wybierał miejsce ataku. Powietrze, którem dotychczas oddychaliśmy by żyć, teraz zyszało na nas śmierć i zgubę. Z mych okien widziałem, jak Niemcy bombardują lotnisko, mosty i miasto. To samo widziało milion innych ludzi. Uczucia nas wszystkich były jednakie. Szarpał nas gniew, miotła bezradność. Przeciw dziesięciu Niemcom startował jeden Polak.

Porucznik, jak cała jego eskadra, latał dwa, trzy, cztery i pięć razy dziennie, a rzadko kiedy lot jego obył się bez spotkania z nieprzyjacielem. Zdarzało się, że po wystrzeleniu amunicji wracał na lotnisko, lądował, brał nowy zapas i wzbijał się czempredziej, by odzyskać nieprzyjaciela, który czyhał nad ziemią. Bywał w powietrzu po trzy, a nawet, zdarzało się, pięć godzin dziennie, robił rozpoznania, brał udział w pościgach, zrywał się do alarmowych ataków. Wojna jednego na dziesięciu miała surowsze prawa, niż dało się przewidzieć. Eskadra myśliwców wykonywała zadania, które właściwie godziłoby się powierzać innym rodzajom samolotów, gdyby był na to czas i gdyby były inne samoloty. «Puhać» oddalały się z każdym dniem od prawideł ustalonych za czasów pokoju i przyjmowały nowe zasady: jeden człowiek brał na siebie ciężar przeznaczony dla kilku i ludzkie siłami wznosił się maszyną. Regulamin stawał się coraz odleglejszym wspomnieniem. Przewidziane w nim dwa loty dziennie po pół godziny lub jeden niedłuższy niż godzina należały do przerzeczonych igraszek. Aparaty zużyte w ciągłej pracy i poszarpane w bojach wymagały coraz więcej zachodu. Mechanicy naprawiali je tylko w nocy, leczyli weteranów jak najrozkliwiej, ale i w nieustannym pośpiechu. Dookonała naprawy znać była mniej, niż jej szybkość.

Powoli narastała groza wojny Dawida z Goliątem. Porucznik ani razu nie dał mi do zrozumienia, że ktokolwiek uginął się pod jej ciężarem. Przeciwnie, z uśmiechem, który wynikał nagle z surowych fałdów twarzy, opowiadał mi o dalszych lotach i warkach; nie wiedziałem, doprawdy, co w tem podziwiać, wrodzoną dzielność tych żołnierzy czy świadomy wysiłek, aby przewagę wroga doścignąć własną ofiarnością. Ale wystarczyło zetrzeć z tych opowiadań uśmiech mego przyjaciela i spod wartkich przygód przeniknąć do obiektywnej oceny wypadków, aby domyśleć się, że nad temi skrzydłami, które nie znały lęku, coraz szerzej rozciągał się cień nieodpartej przemocy i coraz ciemniejsze od szarańczej przewagi zawisało niebo.

Jeszcze piąty i szósty dzień wojny mógł uchodzić za datę zwycięstwa. Porucznik latał wtedy wiele razy, spychał Niemców z obranej drogi i wytrącał z sztyku, dwa samoloty, dwie sowy posłał na śmierć. Piątego, idąc na czele trójki myśliwskiej, spotkał nad Warszawą wyprawę Junkersów, bombowców nurkowych; podjął śmiały atak, każdy z jego towarzyszy uciepił się jednego najeżdźcę przeciwnik porucznika, zasypany oliwami po skrzydłach i zbiorniku, zapalił się i buchając dymem stoczył się w dół.

— Ponościł mnie, — odpowiadał mi o tym wypadku, — ruszyłem zaraz na drugiego, ale silnik zwolnił nagle obroty i stanął. Ledwie dociągnąłem się na lotnisko, miałem postrzelane koła, przebity zbiornik oleju i dziurę w spadochronie.

Szóstego dnia na zachód od Warszawy spotkał trójkę Messerschmidów, przywarł do jednego i nie dał się odpedzić. Niemiec manewrował sprawnie ale nie uszedł strzałem. Spadł kamieniem na północ od Błonia przy małym potoku, płynącym w regulowanych brzegach jak kanał.

Dawidowa proca ślabła jednak coraz bardziej. Armje cofały się, oddziały gubiły się śród nocnych odwrotów, tracili łączność ze sobą. Drogami szedł exodus polski, koczowniczy tabor niedoli i bezdomności.

Uchodził kto mógł i śpieszył się wiadomą dokąd. Szosy roily się słożoną cizbą pieszych i konnych, wozów i samochodów, cyklistów i kalek z protez, wędrowców z plecakami i obdar-

tych włóczęgów, ludzi padających ze znużenia po rowach i deptanych w pospiechu, kobiet z dziećmi na ręku i dzieci gubionych w natoku. Była to istna wędrowka ludów w chaosie prób, przekleństw, płaczu i krzyku, w tumanach kurzu i w dławiającym upale. Po bokach tych dróg plonęły mięsa i wsie, iluminacja nieszczęścia ludzkiego.

Eszkadra porucznika D. po kilku postojach na lotniskach połowych przemieściła się na prawy brzeg Wisły, nasamprzód do Lublina, potem na Wołyn. Podczas tych przemieszczeń przelatywały na miejsce samoloty, ale upływały dni zanim po drogach zapelonych po brzegi nadążyły samochody z benzyną i mechanikami. Lotnicy nie mogą żyć bez bazy. Były to najcięższe próby «Puhaćców». Nie zostawało im nic innego niż czekać. Nad Lublinem latały gromadnie bombowce, urosły się ponad pułapem artylerji, dosięgły każdego celu, w niezamoczonej i jasnej pogodzie. Myśliwcy musieli przeżywać wtedy na swoich kwaterych to co my u naszych okien w Warszawie. Patrząc w górę, biec okiem za dostrzegalnym, złotoróżowym pociskiem, podciągać go wyżej całym jestestwem, szarpać się w gniewie i miotać w bezsilie.

Łatwiej było wykonać najtrudniejsze zadanie, niż podać takim uczuciom. Oficer nie objaśniał mi swoich przeżyć, ale mogłem się przecieć sam wszystkiemu domyśleć. Czyż byli gorsi od Niemców, czy nie stawili im czoła, czy nie zbijali ich dziesiątkami co dnia? Jak mogli zgodzić się na tę przymusową niższość, która wzięła ich na ziemi, gdy przeciwnikowi poddawała się bezbronne powietrze?

W tym czasie porucznik D. dostał nagły rozkaz dalekiego rozpoznania na północ. Z Lublina miał polecieć na odcinek Ostrów — Wyszów zbadać czy przeprawa przez Bug pod miejscowością B. nie jest sforsowana przez nieprzyjaciela i złożyć meldunek w Brześciu, gdzie kwatrowało naczelné dowództwo. Rozkaz w sam raz, by wyrwać się z uścisku bezradności. Normalnie rzecz biorąc, trzeba było mieć ze dwie godziny czasu, by przygotować takie zadanie, zapoznać się z terenem na mapie, obliczyć kurs nawigacyjny, poprawki na wiatr, czas lotu i inne podobne pokojowe nawyki. Teraz miał wszystkie godziny do zachodu słońca. Idealnie. Nic lepszego nie mogło go spotkać.

Pamiętam dobrze jak mi to opowiadał. Powtarzał każdy szczegół, powracał do niektórych kilka razy, jakby odbywał ponownie tę wyprawę i nie chciał nic z niej uronić.

Dostał benzynę, wziął amunicję, skierował się odrazu na północ. Słońce już zachodziło. Mógł widzieć tylko wschodnią połowę nieba, na ziemi panował półmrok. Leciał jak gdyby na granicy zmagającej wole powietrza, nad niem było jeszcze jasno i przejrzyste.

Obnażył się przed nim straszliwy widok kraju. Cała Polska płonęła. Nad zólkami słupami ognia wznosiły się ciemnogrnaty dymy. Jak okiem sięgnąć, wlokły się w górę, pięły się i zwiły w kilometrowe warkocze. Dochodziły do ogromnej wysokości, sięgały dwu tysięcy metrów i rozchodziły się płasko w inwersji powietrznej. Szczegóły nie można było dokładnie rozróżnić, chyba że rzucały się w oczy jak wybuchy cystern naftowych lub jak rozpaczyliwie zapytania żorawy studziennych płonących skośnie w powietrzu. Gdzieś tam w powietrzu, nad niem było jeszcze jasno i przejrzyste.

Był to istic infernalny obraz. Groziło jego nie można się było oprzeć.

Chwilami zamykałem oczy, żeby tego nie widzieć, — mówił porucznik, — potem znów otwierałem je i z jakąś bolesną rozkoszą nasycałem się tem okrucieństwem. Myślałem sobie, że nie ma zemsty, która byłaby godna tego zniszczenia.

Dziś, gdy rozważam nasze rozmowy i przypominam sobie niedługo chłopięcą postać porucznika, zdaje mi się, że odgaduję, dlaczego uśmiech jego tak szybko zniknął w bródach polców a twarz tak często tężała w acetylenowej surowości. Na jego młodość, która rwała się do zwycięstwa, spadał ciężar kłeski. Młodość ta wychowywała się w duchu, że broń, która wada, jest broń rycerską, lecz stanęła przed przeciwnikiem, którego zasada była bezwzględność i okrucieństwo. Honor bezpośredniej walki okno człowieka z człowiekiem, powaga ostatecznego starcia, gdy wyczerpano już wszystkie inne środki rozprawy i gdy został tylko wybór między życiem a śmiercią, cała moralność tej straszliwej próby, wszystko to obróciło się wniwecz. Przeciwnik walczą jakby w ekstazie zabijania i niszczenia. Strzelał do lotników spadających na spadoczonach, strzelał do sieroi w przylotku w Otwocku, strzelał do dzieci ewakuowanych ze szkół, strzelał do kobiet uciekających na chłopskich podwodach, strzelał do wiejskich pastuchów na łąkach, strzelał do bydła pasącego się na ścierniskach. Wszystko co było w Polsce żywe, pragnął zabić. Wszystko co było nieżywe, pragnął zniszczyć. Lotnik niemiecki rzucał bomby na polskich ludzi, na polskie zwierzęta i na polskie przedmioty. Celował w domy, w kościoły, w sprzęty gospodarskie, w wodopoje dla bydła. Celował w istnienie i trwanie, w przeszłość i w przyszłość, w ziemię i w naród.

Zołnierz, któremu nie zaszczepiono religij nienawiści, stawał przed takim przeciwnikiem zdumiony.

Nasi lotnicy parali się w sobie z doświadczeniami, które przeinaczały charakter i zmieniały ich widzenie świata. Rycerska gotowość do walki na śmierć i życie wydawała się czemś niewczesnym wobec zbrodni, ideału wroga. Jasność dawnych uczuć maciła się od krzyku wzbudzonych instynktów. W świa-

domość męstwa przenikał głód zemsty, w poświęcenie — żądza krwi.

— Zadrżałem w sobie — ciągnął porucznik — gdy lejąc tego wieczoru nad jakąś stacją, dostrzegłem wdole czerwono-niebieskie, urywane błyski. Coś podobnego jak czasem widać w mieście nad nocnym tramwajami, Bomby! Ale skąd i przez kogo rzucać? Rozjązłem się wokół: szarżująca pustka i nic więcej. Dopiero po chwili wykryłem ich pod sobą. Były to dwa Junkersy 86. Jeden z niskiego lotu bombardował tory i miasteczko przy stacji, drugi leciał nieco wyżej, z boku. Ogarnęła mnie furja. Rzuciłem się zgóry, zaatakowałem niższego zniencaka. Niemiec zadymił i skręcił na zachód. Pewnie go ostrzelałem, niestety, nie dość dokładnie. Wszystko we mnie dygotało, tak chciałem się bić, ale oba Junkersy rozwinęły się w mroku. Musiałem sam siebie hamować, aby nie lecieć za nimi, miałem przecieć przed sobą rozpoznanie, na walkę nie było czasu. Wziąłem swój kurs, dotarłem nad Bug, sprawdziłem, że przeprawa jest wolna, i poleciałem do naczelnego dowództwa. Zapadła już noc, lądowałem raczej na łasce boskiej niż na ziemi. Bardzo się z mego meldunku cieszone, wieszano mi lotu, ale aikt nie przypuszczał jak ciężko mi było na sercu.

Zaczęły się teraz dni częstych przelotów po Chełmszczyźnie i Wołyniu, z miejsc na miejsce, z jednego lotniska na drugie. Starty na alarm i wiszenia w powietrzu, ataki i walki, rozpoznania i meldunki łączności. Służba była coraz cięższa, warunki coraz trudniejsze. Ocalałe w bojach samoloty stanowiły właściwie oddział inwalidów. «Puhaćcom» zostało siedem maszyn, postzeranych karabinami maszynowymi i ogniem artylerji. Żadna z nich nie była nieknięta, wszystkie miały naddarte śmigła i podłupane podwozia. Obsługę tworzyły teraz cała załoga, mechanicy i piloci. Do solidnej naprawy brakło środków i materiałów, maszyny drutowano i łatanio na oczekiwaniu. Do delikatnych motorów ściągano materiał wiejskich kowali. Jedna PZL miała koło pożyczone od wózka do podwożenia benzyny. O sygnalizacji radiowej oddawna nie było mowy. Kto wyleciał w powietrze, zdany był na samego siebie.

— Jak mogliście to wszystko wytrzymać? — wykrzyknąłem podczas jednej rozmowy, bo wydawało mi się, że los tych ludzi bardziej już był beznadziejny, niż bohaterki.

— Czekaliśmy na Morany. Mówiono, że z Francji jada nowe maszyny — spokojnie odpowiedział mi porucznik.

W tym czasie zdarzyło się, że wybraliśmy się, ja i mój przyjaciel, na przechadzkę nad Sekwaną. Dzień był wtedy bardziej podobny do wiosny, niż do zimy, którą wskazywał kalendarz. Znad rzeki podniosła się mgła, nad miastem rozkwitł błękit nieba. Drzewa paryskie, najbardziej wznoszące drzewa miejskie, odsłoniły po wielu dniach korony i jakby nagle rosyły w oczach. Popołudniowe słońce oświecało prawy brzeg i leżało ciepłą śnieżką na pozostających, bulwarowych piaskowcach. Domy zalsnity srebrnoszara patyną, narodowym kolorem Parry, i rozdzielały się w przestrzeni łamanymi dachami, jakby podając wiatrom swoje lekkie, fryzowane głowy.

Rozmawialiśmy o walkach z ostatniego okresu wojny, tuż przed pamiętną niedzielą, kiedy za plecami walczącego kraju podniosł się przeciw niemu zbój rosyjski. Po wszystkim co potem nastąpiło, niełatwo jest dzisiaj pojąć, że nawet wtedy moich powietrznych przyjaciół nie opuszczała wiara i myśl o zwycięstwie.

— Im trudniej nam było, — mówił porucznik, — tem większa ogarniała nas gorączka. Tak, gorączka. Byliśmy gotowi robić wszystko i za wszystkich. Lecieć w pojedynkę przeciw stu, walić się aparatem w aparat. Wysłaliśmy się na niezwykle pomysły, szukaliśmy nowych, fantastycznych środków walki. Roliliśmy na jawie, nocą trudno było mi usnąć.

W pewnej chwili wziąłem mnie pod rękę i dodał z odcieniem zaufania: — Każdy z nas marzył przecieć całe życie, by okazać się dobrym żołnierzem. Weszliśmy na most Aleksandra. Od esplanady ciągnął mocny wiatr. Porucznik rozpiął swoje skórzane palto: — Mocno dzisiaj wieje, przepadam za tem. My lotnicy nigdy właściwie nie rozstajemy się z wiatrem, to nasz niezbędny towarzysz. Boże, jak wtedy czekał mi na jego zryw i zmiany! Mśleliśmy, że sprowadzi chmury, że niebo się zaciągnie i że spadną deszcze. Niemcy nie mieliby takich pogód, takiej jasności w powietrzu i takiej suzy na ziemi. Nie mogli przecieć wygrać tej wojny. Nie myśmy ją zaczęli, broniliśmy swego kraju, biliśmy się o wolność. Takich wojen się nie przegrywa.

Los chciał, że mój pilot otrzymał wtedy rozkaz, który przejął go do żywego. Działo się to w Młynowie wieczorem dn. 14 września. Polecono mu odszukać wojska gen. Sosnkowskiego, z którymi naczelné dowództwo utraciło od kilku dni łączność, a które były się gdzieś w trójkącie Lwów — Przemysł — Stryj. Dostał do generała list, prócz tego miał się nauczyć treści jego napamięć. Było to kilka słów zaledwie, ale wydały mu się, jak się wyraził, ważniejsze od wszystkich, jakie słyszał w życiu. Rozkaz brzmiał, aby zaniechać marszu na Lwów, przesunąć się z wszystkimi siłami na linję rzeki Stryj lub na jedną z rzek równoległych, zamknąć od zachodu połączenie Polski z Rumunją i tam się bronieć.

Zlecenie miało być doręczone za wszelką cenę. Na wypadek gdyby pilot nie wrócił ze swojej wyprawy, z tym samym rozkazem miał lecieć inny «Puhaćca». Mój przyjaciel wraz ze swoim ewentualnym następcą, por. K., odczytał list parę razy, powtórzył go w myślach słowo po słowie, zakleił i schował na piersi.

— Jakbym się nanowu urodził — o-

JÓZEF WITLIN

ODA NA CZEŚĆ MOWY I POEZJI POLSKIEJ

*Chwała wam, Muzy ojczyznej pokorne służki i pieski:
Przyimki, zaimki, przysłówki — zacne a niewolnicze!
Byłżeby bez was natchnionym lutnistą Jan czarnosłoki?
Mógłbyż bez waszej pomocy Mickiewicz być Mickiewiczem?*

*Chwała wam, ciury ciągnące w ognie pańskich orszaków:
Słowa powszednie, robocze, wytarte jak stare monety!
Ledwo was tylko potrąci dłoń miłująca poety —
Już płomień Boży z was bucha jak z gorejących krzaków.*

*I wam pochwała, istoty ciche, bez duszy i blasku:
Mizerne kropki nad ż, skromne haczyki pod ą;
Jedna na świecie was polska mowa obdarza swą taską
I pieśń brocząca krwią.*

*Chwała wam, Apollinowe rumaki z królewskiej stadniny,
Na których szturmem wieczorowie zdobyli niebieskie bramy!
Ale i was, o skrzydlate, chłopskie koniki, Kochamy:
Owsa i czterolistnej nie zbraknie wam koniczynny.*

*Stawa wam, ognia boskiego bezgrzeszni, dobrzy złodzieje!
Błogosławione te sępy, co żywe szarpiać wam ciota!
Albowiem «płomień rozgryzie malowane dzieje...
Pieśń — ujdzie cało!».*

1938

JÓZEF WITLIN.

(Wiersz był napisany do podręcznika szkolnego)

powiadał mi o tem i błyskał młodocianym uśmiechem na zaciętej twarzy.

Odsłonił mi się cały świat, rozumiał wszystko. Był to plan obrony Polski, więcej nawet, był to ostatni plan obrony Polski.

— Niech się pan ze mnie nie śmieje, ale wydawało mi się wtedy, że wszystkie wydało mi się, że dostarczyć rozkaz, znaczy osadzić wojska na miejscu. Gdy raz stanął i zaprzął się w ziemi, odbijemy wszystkie natarcia i doczekamy się pomocy. Czy ja wiem, wydawało mi się, że dostarczę rozkaz, znaczy tyle co wygrać wojnę.

Zapadł już głęboki, jesienny zmierzch, gdy porucznik z drogowym listem na piersi wyszedł szukać benzyny. Małe miasteczko tonęło w ciemnościach, na stoczonych ulicach stały tabory, oddziały wojsk, karawany uchodźców. Zewsząd nawoływano się krzykami, pytało o droge, szukano kowalnego przejazdu. Porucznik błądził do późnej nocy, benzyny nigdzie nie było. Wrócił na lotnisko, przetrząsnął wszystkie jego zakamarki. Z odnalazł wszystkie beczki i ze zbiorników innych samolotów zaczęto zlewać pozostałe reszki do jego maszyny. «Jak na dobroczynny składek» — powiedział.

Wystartował o świcie. Nad ziemią leżały mgły rozwibione wielkimi, przejrzystymi płatami. Słońce, widoczne o wschodzie, schowało się potem w

obłoki. Chmury, śpiące w nocy, podrywały się jedna po drugiej i płynęły w górę. Wysoko, gdzieś na dwu tysiącach metrów, zbijały się w zwartą masę, która zakrywała cały horyzont. Porucznik leciał pod ich pułapem.

Wyobrażam sobie, z jaką uwagą śledził ziemię i wyczuwał swoje bystre oczy. Na drogach rozpościerał się dobrze znany mu obraz, ten sam exodus polski, wielki pochód we wszelkich kierunkach, rozpoczęty od świtu lub może nieprzerwany przez noc. Nad Lwowem wznosiły się dymy, powietrze leje osypałe mglistym kurzem. Minął tę nieruchomą zastawę i znalazł się nad bezładnymi przestrzeniami. Nawet drogi były tu puste. Nadciągnął nad małe miasteczko, obok błyszczała tafla stawu, był to Gródek Jagielloński. Zniżył lot, rozpoznał Niemców, skierował się dalej na południo-zachód. Drogi okazały się w tych stronach znów pełne ruchu; nie mógł się mylić, to wojska niemieckie ciągnęły na Lwów. Gdzie są nasi? Zalegali w lasach czy okopali się w osłonach, których niesposób odgadnąć? Nigdzie nie mógł ich dostrzec. Kółował nad przestrzeniami, gdzie zdawało mu się, że coś wysłuchi, schodził nisko, przepatrywał wsie, przenikał oddalono, «bezdroże zakątki. Nie chciał wierzyć, że nie znajdzie jakiego oddziału, że może mu się to nie udać.

— Weszłem jak pies, — powiedział, — ale naprzóżno.

ZENON KOSIDOWSKI

PARYSKIE NOCE

*«Nie poznałbym Ciebie, daleka Ojczyzno,
Gdyby nie noce, dzwoniące w bezczuku,
Przez fiolet mroku krawisz swą bliźną;
Widzę i głowę podnoszę w nastuchu.»*

*Jak wichrem niesione, w szeleściwie obrotów,
Szeleszczą, tysiączne krzyżują się słowa:
Nie pragnę już więcej swojego powrotu,
Bo trzeba Cię szukać, Ojczyzno — odnowa.*

*Wychylał się z nocy ku bieli codziennej,
Jak grad szumiący jest ludzka rozmowa,
W Sekwanie mosty drżą w fali płynnej —
Patrzę i słyszę to jedno: — „odnowa!”*

*Wspomnieniem rozgarniam powiędłe liście
I szukam gdzieś w dali błyszczącej Twej zjawy
Z fanfar srebrzystych ulatasz srebrzyście,
Jak było nie wierzyć w potyski Twej stawy?*

*A orzeł zszybował z Giewontu przetyczym
I zastąpił w tarczy zmartwiałym symbolem.
Miasta płynęły w powodzi stu tęczy,
Miasta oślepe na ludzką niedolę.*

*I dziś mozołę się z sobą i nie wiem,
Dlaczego tam byłam, w niewiedzy zgubiony,
Rozstałem się ongi z młodości zarzewiem,
By teraz ręce opuścić, strudzony.*

*Próbuję przeniknąć rytm serca pradawnym,
Odgadnąć, Ojczyzno, wymowę Twych érenie.
I czuwam i łowią, jak syn marnotrawny,
Rzęsiste powiewy Twych słodkich obietnic.*

*Napewno kiedyś znów wejdziesz w Twe progi,
W wilgotnym poszumie schyłonych topoli,
Nieśmiało przemierzę pachnące Twe drogi,
Pieśczone falami zoranej roli.*

*Aż ureszcie przystanę, obcy i niemy,
Gdzie pierwsza w głębi wrosnięta zagroda,
Na przybie spotykam oracza tej ziemi,
I czekam zmartwiałą, czy rękę mi poda.*

ZENON KOSIDOWSKI.

Nad Przemysłem sprawdził zapas benzyny; zostało mu niewiele, musiał wracać. Na jakiejś szosie podnosiły tuż man kurzu dwa motocykle; skierował się ku dolowi. Motocyklami jechali żołnierze, nie mógł rozpoznać jacy, swoi czy obcy. «Może się i spytać» — pomyślał; byłby już u celu. Założył nad nimi niskie koło i dał znak skrzydłami, by się zatrzymali. Ale w tej samej chwili dostrzegł jak z każdego motocykla zeskakują dwie drobne figurki i nastawiają na niego karabiny maszynowe.

— Ogarnęła mnie wściekłość — zgrzytnął.

Spikował na nich i zasypał ich ogniem. Za ostatnim nalotem zobaczył figury i motocykle znieruchomiałe na szosie; tylko karabiny sterczały zadarte skośnie do góry.

— Wróciłem jak mi kazano do Brzeżan. Byłem bardzo przybity, zjawiałem się z nieczem, pan rozumie. Tego dnia startowałem jeszcze raz na rozpoznanie, eskadra przeniosła się do Buczacza, rozkaz pozostał niedoreczony.

Porucznik gorączkował się opowiadaniem.

— Może gdzieś wstąpimy? — zaproponowałem.

Chętnie — odpowiedział. — Nie wiem dlaczego mi tak gorąco, od tego spaceru czy od wspomnień.

Weszliśmy do bistra, zaszliśmy w kącie.

— Wtedy też mnie paliło. Co to był za czas! W nocy nie mogłem usnąć. Odbywałem w myślach raz jeszcze całą wyprawę, przetrząsałem etap po etapie, nie mogłem ich przecieć przeoczyć. Na drugi dzień znów latałem, szukałem, szperałem. Zapuściłem się aż pod Karpaty, może gdzieś tam się zaszły — myślałem. Nic, nigdzie żadnego śladu. Ogarniała mnie rozpacz. Cały plan na nic. Wszystkie nadzieje stracone. Dziś można się z tego śmiać, przyznając; sam sobie wydaję się niewiarogodnie naiwny. Ale wtedy, panie, wtedy...

Nadszedł dzień 17 września, pamiętna w Polsce niedziela. Porucznik raz jeszcze wystartował z rozkazem. Była dziewiąta rano. Powietrze rozświetlone słońcem miało nieczem niezamocną jasność. Naprzeciw lotnika ciągnęły chmury, nad Lwowem stały już w zbitych warstwach.

Lecąc na północ od linii kolejowej Lwów — Przemysł porucznik dostrzegł wojska w akcji bojowej. Były to walki osłonowe. Jedne oddziały cofały się, inne atakowały. W okolicach Janowa, w dość nieprzejrzystym terenie, między okrainami lasów, śród bagien i stawów, widział na drobnych odcinkach ruchomy obraz wojny.

— Nie zawałahałem się ani chwili, — opowiadał mi z rosnącym ożywieniem, — to musieli być nasi i Niemcy.

Zniżył się, ostrzeliwany ze wszystkich stron, śród lasu znalazł niewielkie poletko i zaczął lądować. Było tam wszystkiego dwieście trzydzieści metrów wolnej przestrzeni. Przetoczył się przez nią, dotarł aż do drugiej ściany lasu i w ostatej chwili, tuż przed murem drzew, obrócił jeszcze samolot.

— Nie myślałem czy zdołam stamtąd wystartować. Było mi wszystko jedno. Chciałem tylko nie rozbić się razem z maszyną i oddać list.

Porucznik zostawił motor na wolnych obrotach, odpaścił się i wysiadł z kabiny. W mgnienu oka obokoczyli go żołnierze. Byli mało podobni do ludzi, szczerłali, wychudli, żarosińcy, w przepoconych i poszarpanych mundurach. Wszyscy mieli bagnety na karabinach. «Co z naszym lotnictwem, dlaczego was nie widać?» — wołali do niego. Otoczeni ze wszystkich stron, przebijali się bagnetem przez masy niemieckie, gryźli je jak wilki, szarpałi z zaciekłością, ale znużenie zbijało ich z nóg.

— Co miałem im powiedzieć? Pocięsz ich, podnieś na duchu? Byłem taki szczęśliwy! Dotarłem do nich, ukrytych przed wszystkimi, odnalazłem ich, przywołem im ostateczny, zbawczy rozkaz. Znałem plan obrony, wszystko wydawało mi się pomyslnie. Teraz tylko przesunąć się na wskazanę linję, a jesteśmy ocaleni.

Porucznik wybierał się na poszukiwanie dowództwa, gdy nadszedł p. G., należący do sztabu gen. Sosnkowskiego. Okazało się, że generał jest w linii, na skraju lasu, który atakowali Niemcy. Pułkownik przyjął raport w imieniu dowódcy i wziął list.

— I wie pan co się wtedy stało? — ciągnął porucznik. — Usłyszałem szum samolotu. Spojrzałem w górę. Nikogo nie było widać. Po chwili żołnierze zaczęli wołać: «Niemiec leci, Niemiec». Polana opustoszała, wszyscy skryli się w lesie. Odmeldowałem się pułkownikowi, który dał mi swój bilet wizytowy na znak wykonania rozkazu. Wiedziałem co teraz mam robić. Pobiegłem do samolotu, nie zapamiętam już pasów. Motor sędził na małych obrotach, pociągnął gaz, i — niech pan pomyśli — w takiej chwili maszyna mi się zadławiła. Niemiec nadciągał, odgós go zbił za siebie, co nam coraz wyraźniej. Pod drzewami stali żołnierze, spoglądali to na mnie, to w górę, w stronę skąd nadlatywał. «Przedaj, panie poruczniku, niech pan mu się za nas wszystkich odpłaci!» — usłyszałem w ciszy, która zapanaowała nagle, gdy śmigło stanęło. Myślałem, że rozszarpie maszynę. Miałem tylko jedno wyjście: dać resztkę sprężonego powietrza, która mi jeszcze została. Jeżeli nie chwyci, wszystko stracone, Niemiec ujdzie. Pokręciłem korbę iskrownika, motor na szczęście zaskoczył. Maszyna odwrócona ku polanie pociągnęła się naprzód. Jak stamtąd zdołałem się wzbic, Bóg jeden wie, dośże w mgnienu oka byłam nad drzewami.

Porucznik przerwał na chwilę. Patrzyłem na jego podnieconą twarz i odgadywałem co wtedy myślał. Został tych szczerńiałych, utrudzonych ludzi w pierścieniu Niemców, opuszczał ich przed nowymi bojami. Zdani byli na samych siebie, znikąd nie mogli spodziewać się pomocy. Jeśli na ziemi zdo-

lają odbić naciskający napór, kto osłoni ich przed niedosięgłym wrogiem z powietrza?

Jakby przytwierdzając, że się nie mylę i trafnie odgaduję jego myśli, lotnik rzekł:

— Poczułem nagle, że ten Niemiec musi być mój. Musi paść tu, na tem miejscu, przed tymi ludźmi.

Porucznik leciał nasamprzód nisko, trzymał się tuż nad lasem. Liczył na to, że Niemiec nie spodziewa się w tej sytuacji żadnego ataku, może nawet nie tuajci pościgu. Był to Henschel, samolot widzi pościgu. Szedł wolno, zajęty obserwacyjnymi. Szedł w kierunku oddalającym rozpoznaniem naszych oddziałów. Gdy porucznik znalazł się za nim, wyle, wzbili się na swej PZL-ce nagle do góry.

— Ciągnąłem świecą jak można najprościej — powiedział — i odrazu zacząłem strzelać. Rzuciłem się na niego jak rekin, oddołu.

Znajdowali się oddaleni od siebie jakie dwieście metrów, może zbyt wiele jak na skuteczną moc ognia. Ale Henschel był najwidoczniej zaskoczony i prawdopodobnie nie spostrzegł skąd idą strzały. Zamiast uciekać, skręcił w bok, jakby chciał wracać ku linjom niemieckim.

— W tej chwili przegrał — zawołał do mnie porucznik, — popelił błąd taktyczny.

Samolot niemiecki ustawił się bokiem, odległość zmalała do kilkudziesięciu metrów. Serja karabinowa porucznika padła niezawodnie. Niemiec nasamprzód położył się na skrzydło, potem poszedł im do ziemi. Porucznik odszukał go wzrokiem bez trudu. Samolot leżał na polu, między dwoma lasami, przykryty kadłubem.

— Odcleiałem stamtąd na Lwów, — opowiadał dalej, — potem wziętem kurs na Buczacz. Byłem na dwu tysiącach metrów. Dokoła świeciło morze lazuru, strzępiaste chmury błyszczały jak lusk na fali. Zrobiłem co do mnie należało, czy nie miałem prawa czuć się zadowolony?

Była to z pewnością najszcześniejsza jego godzina. Odszukał zgubionych, wskazał im wyznaczoną drogę. Tam, dokąd ich skierował, wyrósł mała granica obrony. Przyjdą szczerńiał, żarosińcy i nędzni, ale za osłoną zgromadzonych wojsk ogarną się, odpoczną, zdejmną bagnety z karabinów. Morzem nadpłynie pomoc, kolejami dotrze na linję oporu. «Puhaćca» wylecą w powietrze na francuskich Moranach, odpędzą niemiecką szarżację. Dał im przecieć zgóry znak jak się ją dęć lepiło.

Tak, to była z pewnością jego najszcześniejsza godzina. Ale nie należało się śpieszyć. Radosna wiadomość, która wzięła ze sobą, nie przecięgnęła innej nowiny, płynącej z przeciwnego biegunu. Na lotnisko pod Buczaczem dotarli przed nim meldunki nieznanne jeszcze w powietrzu. W tym samym czasie gdy porucznik wręcał na leśnej polanie plan ocalenia, na kraj napadł drugi najeźdźca.

Gdy wysiadłem z maszyny, dobiegłem do niego, że bolszewicy maszerują na Polskę. Ale poco o tem mówić... Wyjdźmy lepiej na powietrze.

Wracał mi znowu nad Sekwaną. Między drzewami pylił się popielaty zmrok. Słońca nie było już widać.

Tu na ziemi ciemność zapadała szybko, — mówił porucznik, — w górę jest jeszcze jasno. Można by latać. O takim zmroku startowałem tego dnia do Rumunji i zdążyłem na czas. Odstawiliśmy wszystkie samoloty, bolszewikom nie się nie dostało.

Od rzeki wiało chłodem. Wiosenny dzień, zgubiony śród zimy, pierzchnął bez śladu. Milczeliśmy obaj. Na mostach paliły się już przyćmione według zasad wojennych latarnie. Tylko górą płynęła smuga spóźnionej, lilijowej jasności.

— Byłoby tam wrócić czempredzej — powiedział porucznik i głową wskazał powietrze.

Od tego czasu minęły tygodnie. Porucznik wyjeżdżał za Parz do punktu w zbornych na zbiórki. Często myślałem o nim, wracałem do jego wspomnień. Do szczerńiałego kolegi na stole w Życie, do pożaru ogładanego z podniebia, do planu ocalenia i podróży z rozkazem, z którym tak śpieszył się do zgubionych w nieznannej przestrzeni żołnierzy. Spisuję je teraz bez żadnych zmian, nic nie dodając i nic nie ujmując, tak jak mi je opowiadał.

Niekiedy zdaje mi się, że jesteśmy jeszcze razem, śród tej jesieni omłdanej od spieki i owianej dymami, śród wędrowek wygananej z siedzib narodu, śród walk z okrutnym najeźdźcą. Rozważam niezwykle przgody «Puhaćca» jakbym błądził wspólnie z nim śród chmur, które w powietrzu są dla niego tem, czem dla mnie góry i lasy na ziemi.

Myślę też, że niewielu jest młodych, uśmiechniętych ludzi, którzy na poststrzalanych, późnieszonych maszynach lecieli tak chętnie pod niebo najezzone wroga przemocą. Nie szukał tam chwały ani śmierci, bravery ani bohaterstwa. Nie, robił propositu to, do czego był powołany. Ale wykonywał to doskonale.

I myślę jeszcze, że jeśli jest jakaś rasa polska, a w niej coś najlepszego, miłość życia i gotowość do śmierci, beztraska zdolność do ofiar, zdawałoby się, nadludzkiej, łatwości przejścia od młodocianych porywów do acetylenowej surowości, co mój przyjaciel miał niemal wypisane na twarzy — porucznik niewątpliwie nie uchybił wzorom tej rasy.

W przemysłliwnościach tych spotykam się z nim, przedłużam nasze rozmowy, powtarzam przechadzki. Wydaje mi się, że zbliżam się przez to do stron i losów ojczystych, bez których świat pełen jest samotności.

Bo mego przyjaciela nie ma już w Parzysu. Wrócił w powietrze.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

H. G. WELLS

KOMUNIZM I ROSJA*)

PRZEŁOŻYŁ
ZBIGNIEW GRABOWSKI

Trudno doprawdy orzec, czy dogmatyczny komunizm uważać należy za klęskę, poniesioną przez rozum ludzki w jego stopniowym odkrywaniu świata zjawisk, czy też za nieuniknioną fazę w dziele odkrywania. W pierwszym połowie XIX w., a szczególnie w latach rekonwalescencji i ozdrowienia z tego skrzepu, któremu na imię Napoleon, rozmożyły się wszelkie twórcze i pseudotwórcze idee, rozmaite odmiany humanizmów, pstrokaczka socjalizmów różnego wznajania i koloru. We wszystkich tych próbach tańto się podświadome przekonanie, że czegoś brakuje do całości obrazu, że pomysłom i ideom czegoś nie dostaje. Tego rodzaju okres zawieszania myśli zbiorej jest źródłem rozterki i przyciębienia dla niespokojnych i niecierpliwych umysłów. Czują one, że niczego właściwie nie dokonano, nie osiągnięto żadnych wyników. Pragną ustalić pewną linię i trzymać się jej z żelaznym uporem, cokolwiek się stanie. Jeżeli będziemy posuwać się tym żółtym krolekiem, — argumentują niecierpliwie inteligencje, — nie dojdziemy do niczego.

I tak perorując, wjeżdżają na bezdroża albo pakują swój wóz do rowu. Marx pojawił się na widowni, by zaspokoić pragnienia i głód tych niespokojnych duchów i gorących głów. Był on człowiekiem znaczących ambicji u umysłów, pragnącym rywalizować, a nawet prześcignąć Darwina i Adama Smitha. Uczępił się gospodarczych przesłanek życia, niedocenionych przez rewolucję polityczną, i pozostał wierny swojej teorii o decydującym znaczeniu momentów ekonomicznych. «System kapitalistyczny» — nazwa, którą fałszywie ochrzcił kapital postępujący w rękach prywatnych — powinien zostać zniszczony, a wówczas nastanie sprawiedliwie społeczna. Jako jedynie realny szlak wiodący do owej sprawiedliwości społecznej wskazał materialistyczne pojmowanie dziejów i wojny klas...

Zarówno Adam Smith jak Darwin, z którymi Marx najwyraźniej czuł się zdolny podjąć walkę i wyścig, ani nie zdradzali chęci wysnuć ostatecznych wniosków ze swojego systemu myślenia, ani też nie okazywali ambicji wodzowskich. Dodali swoje cegiełki do gmachu wiedzy i odeszli, zgodnie z nową etyką naukową. Ale typ inteligencji Marxa był znacznie bardziej pierwotny i domagający się bezpośrednich i praktycznych wyników. Był on zwolennikiem wyraźnych formuł, ustalania dogmatu i zdecydowanego wysiłku rewolucyjnego, opartego na stworzonym dogmacie. Powołał on do życia silny, doktrynerski ciasny ruch, mający na celu zniszczenie «kapitalizmu» drogą wojny klas. Ta wojna, będąca buntem wewnątrz społeczeństwa, miała przynieść klęskę znieprawdzonego przez system. Marx nie stworzył jednak żadnego pozytywnego planu, nie rzucił żadnej twórczej myśli — być może był do tego niezdolny — jak ma wyglądać pokój, który nastanie po zwycięstwie w wojnie klas. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że do kierowania wywołanym i postępowym systemem na skalę światową, trzeba będzie stworzyć nową potężną organizację, wyposażoną zarówno w zasoby wiedzy jak i woli i siły. Mówiąc prościej, Marx był nato za leniwy myślowo. Wynalazł on pojęcie-widmo, bardziej nieistotne i zawieszona w abstrakcie aniżeli Duch św.: proletariatu. Ów proletariatu, na który spływają wszelkie łaski i oświecenie, zatroszczy się już o zbry przyszości.

Ciekawego odsyłam do dzieła Josifa Stalina «Leninizm»: tam wyczytać może wiele o proletariacie, czym jest a czym nie jest dyktatura proletariatu i kiedy to partja sprawuje dyktaturę, a kiedy nie, i jak na widownię polityczną wkacza chaos. Jest to księga ortodoksyjnej wiary socjalistycznej, którą porównać można z wyznaniem Atanazego, pogromcy herezji arjanizmu.

Ale te wszystkie zawiłości i dodatki pojawiły się grubo później, narazie wystarczy samo słowo: proletariatu («sans phrase»). Myśl, że proletariatu rozwija wszelkie zagadnienia i trudności siemtem wyjętym z dłoni bożka Thora i sierpem stupiersnej bogini Cybeli, stała się niebawem pociągająca dla różnych gorących głów i urzeka niespokojnych mózgi. Ruch komunistyczny potępił zgodnym chórem jako «bawienie się w utopję» wszelkie delikatne i trudne procesy wnioskowania i przewidywania, wyraził pogardę dla analizy, a krytykę naukową napiętnował mianem małoduszego i grzesznego braku wiary. Toteż gdy w końcu zawałił się w Rosji czar, i gdy runął gmach pojęcia prywatnej własności zarówno ziemi jak pieniędzy i kiedy ten wielki kraj odany został w ręce przywódców komunistycznych, okazali się oni całkowicie nieprzygotowani teoretycznie i myślowo jak zorganizować lepszą przyszłość, jak celowiej poprowadzić gospodarstwo Rosji.

Rosja, wywołana z wiewiór i pęd dawnego systemu w październiku 1917 r., rzuciła się w wir dzikich prób i eksperymentów. Należało scalić i zreorganizować wielką społeczność, która

padła w chaos i zamęt; gromadę, żywiącą się tylko strzępami planów i projektów, jak dokonać tego dzieła. Na barki Lenina spadło olbrzymie zadanie przetłumaczenia słów Marxa na język rozumu i praktyki i wrzucenia do realnej pracy jego hasła i zasad.

Życie jednostki zastępuje na miano pełnego i wolnego tylko wtedy jeżeli jednostka żyje w państwie równości politycznej, uspołecznienia i powszechnego i wszechstronnego wychowania. Bez wykonania tego programu, bez uprzytomnienia sobie tych konieczności, hasła «wolność, równość i braterstwo» są czczymi słowami. Marx i wyrosła z jego zasad partja komunistyczna nigdy w pełni nie mogła pojąć znaczenia trzeciego warunku: wychowania i wykształcenia. Nie dali oni odpowiedzi na naczelne pytania: jak kierować społeczeństwem? w jakim kierunku sterować? Łuki w swojej doktrynie wypełnili obrazem rozłożystego, muskularnego bóstwa z młotem i sierpem, które to bóstwo jest poprawdziej rzeczywiście i odpowiadające realności jak owe bożki hinduskie o niezliczonych ramionach i innych nadzwyczajnych dodatkach, przed którymi do świętościami Indyj trzęsły się głowy i dusze. Zachodu staje zdumiony i zaskoczony. «Wierciecie w naszego bożka!» — zakrzyknęli komuniści.

W praktyce komuniści rosyjscy okazali się mniej nieuchwytni i mgliści aniżeli ich wyznawcy. Nawet jeżeli faktem jest, że sklecieli oni bożka-kukłę, by popędzić palniem wiary maszynę rewolucji, byli oni w pełni świadomi nowoczesnych idei demokratycznych i wybitnie na nie czuli. Zabrali się za sporym nakładem energii do zlikwidowania analfabetyzmu wśród prostego ludu i odnieśli na tem polu sukcesy. Niestety, nie postąpili ani na krok ze znaczną trudniejszym zadaniem: wychowania siebie samych. Nie odczuwali zupełnie potrzeby takiego zabiegu. Zamiast tego pognebili i zdawali wszelką niepokojącą dla nich dawkę i swobodę krytyki. Noszą oni dzisiaj «końskie okulary» i wciśnięci są w ramy ideologii równo ograniczonej i obmurowanej — oczywiście na szerszą skalę — co ortodoksyjni Żydzi, wyznawcy oligarchii w Wielkiej Brytanji, służby hierarchii kościoła katolickiego lub partji chińskiej.

Widowisko rosyjskie odegrało ogromną rolę w myśli i wyobraźni młodego pokolenia wszystkich krajów w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Nawet jeżeli skieruje się przeciwko Rosji wszelkie możliwe zarzuty, to jednak wydaje się, że Sowieci produją dalej reszcie świata jeżeli chodzi o postęp jak praktycznie umyślnie wyczerpani pełni i całkowitej idei demokracji. Inna sprawa, czy Rosja będzie dalej kroczyła naprzód i czy zachowa to prowadzenie. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że nastąpiła poprawa nie tylko w materialnych warunkach bytu, ale także w nastroju gromady ludzkiej. Dawniej wyznawała ona zasady służalstwa, dzisiaj zyskała własną dumę. Rosjanie są w pełni świadomi, że cały świat patrzy na nich. Oczywiście, dokonano tego za cenę wielu rzeczy i ofiar, ale nigdzie na świecie nie stworzono niczego coby można porównać z dokonaniem Sowiec. Stany Zjednoczone notują także postęp w swoich ideach społecznych, ale Ameryka ma nad Rosją przewagę czasu, albowiem zaczęła swoje dzieło o pięć wieków wcześniej aniżeli Rosja.

Ale Rosja dokonała tego olbrzymiego postępu może nie tyle spowodowi cnot i zalet partji komunistycznej, ile wbrew nim. Niewspólnie, partja komunistyczna przyniosła do Rosji ducha rewolucyjnego postępu, ale w gruncie rzeczy ten duch rewolucyjnego postępu nie był najlepszej próby. Można było przygotować go znacznie lepiej do spełnienia wielkiej roli i mógł on wdać ludzi znaczącego kalibru i prawdziwiej wielkoduszności. Najczarniejszym cieniem, który kładzie się dzisiaj na przyszłości Rosji, to nieumiejętność wytworzenia zespołu naprawdę pierwszorzędnych ludzi, zdolnych do wykrzesania zasobów inteligencji z własnego kraju i przemawiania imieniem tej inteligencji do świata. Jak większość krajów w chwili obecnej, Rosja nie umie wystawić na front najlepszego gatunku i czołowej stawki swych ludzi. Nie wie, jak ich wynaleźć i jak użyć. W dalszym ciągu jest nieporadna i niezgrabna. Potyka się na swojej drodze, kuleje i traci zdolność pociągania wyobraźni ludzkiej. Nieumiejętność gospodarowania we własnym domu i dawania sobie rady z wewnętrznymi trudnościami, bez uciekania się do serji procesów, czystek i rozstrzelania — tak wrewzysierowanych że stają się osobliwie odpychające dla umysłu człowieka Zachodu — oraz publiczne a niegodne wymyślenia wymieniane między Trockim i Stalinem, przyczyniły się wiele do odarcia Rosji z tego niemal czarodziejskiego blasku i urzeczania, jaki miała dawniej dla średnio wykształconego ogółu. Te właśnie warstwy są dzisiaj przerażone i zaskoczone. Moga one łatwo poczuwać w jakimś innym nowym kierunku, a prawdziwa wielkość odrodzonej Rosji może rychło zostać zapomniana i zamknięta przez jej powierzchowną, codzienną małość.

Jakimż to brakiem tolerancji odznaczała się młodzi komuniści w ciągu ubiegłych lat nieudolnych! Jakże surowość i brutalność wprowadzili oni do wszelkich rozważań politycznych czy społecznych na całym świecie! Jakże nie-

chętnie człowiek rozsądny ulega pokusom przyłączenia się do tych, którzy radują się obecną kląpą i załamaniem hałaśliwej młodzieży lewicowej! Dla normalnej jednostki ludzkiej jest rzeczą rzadką uzyskanie dojrzałości i niezależności umysłowej przed osiągnięciem trzydziestki, podobnie jak nieczęstem zjawiskiem jest fakt powstrzymywania się z wypowiedzianiem w sposób gwałtowny swoich poglądów po ukończeniu osiemnastego wiosna życia. Szatan nie próżnuje i szepta do ucha młodym próżniakom różne psotne rady. Przyrodzonym odruchem młodzieńca jest bunt wobec rodziców i poprzedniego pokolenia, które wydało go na świat dla powodów, nie dających się przezeń żadną miarą wytłumaczyć i usprawiedliwić. Ponieważ zaś taka młoda istota jest zadanio nieśmiała, żeby iść o własnych siłach myślowych, ulega ona popędowi i potrzebie przejścia do całem dobrodziejstwem inwentarza do jakiejś organizacji czy grupy. Potrzeba ta wyraża się w zaprzeczeniu i odrzuceniu szarej i nieciekawej atmosfery domowej. Tak córka uczciwego poganina staje się zagorzała katoliczką a synalek katolika rzuca się w objęcia komunizmu. Przywiązują się do wiary swojego wyboru i zostają przy niej. Wybaki swój akt wiary i doznają pocieszającego uczucia, że należą do czegoś obszerniejszego aniżeli ich indywidualne życie, do czegoś powstałego z autorytetu i powagi, co uczyza im opieki i jest dla nich schronieniem. Chłopiec, który uciekał z domu, szuka jakiegoś okrętu, któryby go zabrał, i wiąże się z żoną. Jeżeli taka eskapada mu się nie uda, zazwyczaj wraca z powrotem do domu.

Jedną z podstawowych trudności i kłopotów stworzenia zwanego «Homo sapiens» jest to, że rośnie ono i rozwija się — jeżeli chodzi o organizm i zasoby energii życiowej — już na dwadzieścia lat przedtem, zanim umysł stworzenia dojrzej wystarczająco, by myśleć i działać samodzielnie. Młokos bragnie dokonywać czynów niezwykle bohaterkich i wspaniałych w wieku lat osiemnastu, ale jego niedojrzałość umysłowa zmusza go do szukania rady i wyjaśnienia, jak to należy robić. Złotdzioby nie mogą czekać. Odpowiedzą oni na wezwanie każdej idei czy słowa, które wyzwoli nagromadzone siły, jak kocię puści się za każdym korkiem na sznurku. I tu oto mamy wspólny klucz do serc zapaleńców, zarówno spod znaku swastyki, irlandzkiego nacjonalizmu, hiszpańskiego anarcho-syndykalizmu, jak miotającego bomb walczącego syjonizmu, japońskiego militarysty pod znaku shinto, amerykańskiego gangsterskiego czy członka tajemniczego klanu Ku-Klux. Są to wszystkie formy wypowiedzenia się, narzucone i przyjęte przez młodzieży nadmiar żywności i siły, a to stanowi zasadnicze zagadnienie naszego gatunku. Ta nadwyżka młodzieźniej energii będzie rozszalała i rozbiłata każdy system społeczny, dopóki nie wymyślimy sposobu, któryby wyzwał te siły — w pełnem przewidywaniu ich wybuchu i z umiędopojnością i wiedzą ich zaspokolenia. W poprzednich rozdziałach wytłumaczyliśmy jak ta bujność myślowa i przelewanie się żywotnych soków szukały w przeszłości ujścia w wojnach oraz wderówkach emigracji. Wyjaśniliśmy także, dlaczego te przyrodzone kanały odpływowe stały się niewystarczające dla wyolbrzymionych i zbyt spętnianych sił zniszczenia, jakie narosły w naszej dobie.

W ciągu ostatnich trzech lat wystąpiły w Anglii trzy ruchy wywierające magnetyczny i nie dający się wymierzyć urok na ową bezrobotną żywność młodzieży. Czwarła możliwość — fałszywa — na szczęście została ośmieszona w sposób tak odrażający w osobie Sir Oswalda Mosleya, że nie stanowi niebezpieczeństwa dla naszych synów. Jednakże młodzieńcy, którzy nie ulegli wpływowi nauki Buchmana, głoszącego przewodnictwo Boże, ani też nie dali się zwięzić wzniosłym tonom anglokatolizmu, celebrowanej przez poetę T. S. Elliota, nader chętnie oddawali się kultowi bożka o bohaterstwie godnie młota i sierpu. Wstępowali do partji komunistycznej, poddawali się dyscyplinie i rygorowi partii, strategii partyjnej, wypełniali rozkazy i zadania. Czuli że mają za sobą całą potęgę rewolucji i masę Rosji. Do jakiegoż to rozpaczy doprowadzili ci słuchacze uniwersytetów swoich rodziców i star-

szych od siebie ludzi — studenci, trzymający się oburącz dyszla partji. Jakże byli niezdolni i ordynarni, wiedząc że opanowali sztukę krytykowania liberalizmu i orjentując się, jak łatwo jest wlać na tę pochylą wierzbę! Przypominali oni niegrzeczne dzieci, co to trzymając się fartuszka niańki, pokazują język wszystkim dorosłym przechodniom.

Ten osobliwy owczy pęd zdaje się tracić na sile, wyczerpywać i kończyć — gdy dokonano się spustoszenie w szeregiach pokolenia głupich ale dzielnych egzystencji, gdy zmarnowano tyle energii politycznej i myślowej. Zapaleńcy ci przesadzali, zarówno jeżeli chodzi o doskonałość Rosji jak i o to, że jej doświadczenie będzie ostateczną i końcową rozgrywką. Niektórzy z tych zapaleńców umarli za swoją wiarę. Dziś jestem świadkiem odwrotu od obecnego rządu sowieckiego, i obawiam się, że zamiast badawczego krytycyzmu, wystąpi na powierzchni powszechne i stronicze potępienie. A jednak istniejące w Rosji rządy mają na swoją obronę wiele względów.

Tam właśnie, w Rosji, istnieje dalej podtrzymywana wiara, szeroko rozrosły i rzetelny wysiłek budowania nowego porządku społecznego i gospodarczego. Narzuca się konieczność przeciwstawienia pędu sowieckiego bezpłodności chińskiego Kuomintangu. Na te Rosji próba Chin wyjdzie biado. W Rosji «rewolucja» oznacza dalej dla milionów istnień i głów zaczątek nowej ery ludzkiej. W żadnej społeczności ludzkiej nie objawia się tak wyraźnie motor tej idei: otwieramy nowe stulecie. Myśl ta musi zwalczać złe tradycje społeczne i szeroko rozlaną rzekę oporu środowiska ludzkiego, nieuczciwości i nieszczeroci. Musi ona parć się z ludem, dla którego pojęcia punktualności i dokładności są czemś nowym i nieznanem. Czechoz żył i umarł przed wojną, ale opowiadania jego naznaczone są rozterką a nieraz rozpacz, jaką odczuwał ten człowiek posiadający nowoczesne wykształcenie naukowe na widok zapano doprawdy ludzkiego bałaganu i rozprzeczania panującego w kraju, który był mu bliski. Bolszewicy, którzy — jak to już zaznaczyliśmy — sami nie mieli wytyczonego planu i marszrutu, musieli przejść ten świat, zbiedzony, rozbitny, chaotyczny, do którego dobiegano się ze wszech stron — i przemienił ten zamęt w jakolako działający system, w jakiś nowy ład, chociaż nie wiem jak zgruba ciosany i chamski — albo czekała ich zagłada. Sklecieli też oni nowy porządek, dalej jeszcze zgruba ciosany i surowy pod wielu względami, ale trzymający się kupy. A ład ten nie jest mimo wszystko aż tak twardej i surowej jakby mógł być.

Odwiedzałem Rosję trzykrotnie: w latach 1914, 1920, 1934, prowadziłem długie rozmowy z Leninem i Stalinem, mam sporą paczkę dobrze poinformowanych Rosjan wyznających różne orientacje i przekonania, przewertowałem całą bibliotekę książek o Rosji zarówno przychylenych jak potępiających. Jak większość ludzi w świecie, byłem zdumiony osobliwymi procesami i wybijaniem — w legjonach ofiar — także i większości pierwotnych rewolucjonistów, twórców ruchu. I zdaje mi się, że ze wszystkich świadków oskarżenia najwięcej światła rzuca — pewien amerykański inżynier górnicy J. D. Littlepage, który napisał książkę p. t. «W poszukiwaniu złota sowieckiego». Z jego pracy dowiedziałem się najwięcej.

Nie było może w świecie pisarza tak wolnego, jak autor wspomnianej książki, od wszelkich zabarwień i uprzedzeń politycznych. Nie można dozepić do niego żadnego określenia kończącego się na *ista czy krata*. Jego zajęciem i pasją jest górnictwo, rzetelna robota, pierwsza klasa, bez partactwa, klecenia, tracenia czasu i materiału, kawałów, podstępów i kradzieży. Rzadko kiedy spotyka się tego rodzaju nastawienie i tego typu ludzi. Autor książki zdolny jest do uczciwego myślenia w ramach swojego ograniczenia i okularów (znakomitych zaiste okularów): uczciwości i największej wydajności. Opowiada on nam dzieje swojego zaangażowania do Rosji do odbudowy i reorganizacji kopalń syberyjskich: miedzi, innych rud a także i złota. Opowiada nam w sposób wybitnie przekonujący — i to jest szczegół wysoce pouczający — jak skoniano Stalinu do rozpraczenia prak kolonialnych oraz o wsze-

laskich trudnościach i powikłaniach roboty. Za dotknięciem magicznej pączki Littlepage'a olbrzymie i ponure widma trockistowskich spisków i zorganizowanego sabotażu kapitalistycznego przepadają w zapadni sceny, zeznania oskarżonych łączą się i zgadzają z wyznaniem złych duchów, jak w średnio-wiecznych procesach czarownic. Widzimy na własne oczy czysto ludzką rzeczywistość: nieudolni ludzie, starający się odwalić robotę i zachwaszczając ją jeszcze bardziej. Bałagan rośnie, niewłaściwie mianowani ludzie trzymają się kurczowo posad przy pomocy sztuczek lub postępow, wir zardości i nienawiści, celowe i świadome przekręcanie i wypaczanie faktów aby uratować «twarz» grup zaplątanych w powszechny krach. Słyszymy jak fabrykuje się kontrosterkania i kontrowody, jak odwołuje się do wyższych czynników. Są to sposoby i chwytły niewyrobionych, niewykwalifikowanych i niedostatecznie pilnowanych ludzi na całym globie. Generałowice państw sprzymierzonych zachowywali się podobnie w czasie wielkiej wojny na froncie zachodnim, ale niestety, nie było nikogo coby ich postawił pod ścianę. A wreszcie przychodzą w książce Amerykanina owe słynne wyznania i zeznania, które mają ująć w ramy i złożyć do kupy całą niewiarogodną krzyżówkę bałaganu, nieładu, partactwa. Lepiej dać wzmówić w siebie, że jest się przemysłnym i zatwardziałym spiskowcem, aniżeli partaczem, który chce uratować własną skórę i zasłania się jak może. Lepiej wyjść na węża, aniżeli na nędznego robaka.

Littlepage pozwala nam zrozumieć nie tylko powolność tego kraju i niezadawalające tempo wydobycia oraz produkcji, ale także zamieszanie i bezład na szczytach, u źródeł władzy i urzędowania, gdzie niesposób wydstać rzetelne informacje, gdzie niesposób odrębnie zasługę partyjną od fachowatej. Szczęty nie wiedzą kogo ufać, a to pcha je do nieobliczalnych kroków, zmaga ich podejrzliwość. Każdy z nas, jeżeli nie potrafi trafić celnie, instyktownie chociaż stara się uderzyć mocno. Egzekucje stają się zrozumiałe na tem te — musimy wiązać w rachubę czynnik konieczności. Po lekturze książki Littlepage'a należy zabrać się do ponownego odczytania sprawozdań z procesów. Zaczniecie je rozumieć. Mimo to jednak cały urok i fascynacja Rosji upada.

Piszę o komunizmie z uprzedzeniem, ale to uprzedzenie nie jest uprzedzeniem na jego korzyść. Przypuszczam, że wytłumaczyłem dostatecznie jasno jak zdecydowanie nienawidzę Karła Marxa i jak bardzo ciasny dogmatyczny komunizm młodego pokolenia drażni mój umysł. Jednakże zmuszony jestem uznać, że Rosja od czasu rewolucji dokonała istotnego postępu, i to nie tylko w dziedzinie materialnej. Czy Rosja będzie rozwijała się dalej? I jaki jest dla nas sens i znaczenie nowej fazy, w jaką obecnie Rosja wkacza?

Wydaje się, że masa rosyjska jest dalej na swój surowy sposób nastrojona rewolucyjnie — w najlepszym, jednak, twórczym tego słowa znaczeniu. Olbrzymi, zgruba ciosany organizm postępuje ciagle naprzód. Ale najwidoczniej coś zdaje się być nie w porządku z głową tego olbrzyma. Ogromne stępy rozezarowanej młodzieży Zachodu powiadają obecnie, że wszyscykin winien Stalin, i zaciągają się pod sztandar trockizmu. Ale cała historia sięga głębiej. To nie jest tylko spór osobisty. Organizacja szczytów musi być całkowicie wykoślawiona, jeżeli osobista animozja potrafi wyważyć z zawiasów wszystko. Najwidoczniej organizacja ta jest tak nastawiona, że odrzuca ona typy i umysły pozytywne, a wysuwa naprzód miernoty. Lenin był człowiekiem wielkiej klasy, Litwinow jest zdolniejszym politykiem, aniżeli całe legiony dyplomatów. Osobistości stojące u steru rządu w Sowiech wahają się w skali od uczciwej przeciętności do całkowitej nędzy moralnej. Było by zaiste śmieszne przypuszczać, że są oni śmietanką inteligencji rosyjskiej, która dała ludzi tej miary co Mendelejew, Miecznikow, Pawłow, Puszkina, Maksym Gorkij.

Organizacja władz naczelnych, które stanowią nadbudowę na ramionach rosyjskiego kolosa, jest — nie objawiając prawdy w bawelnię — głową bez czoła. Jest to mózg, któremu brak niebylejkiej bagatelii: cerebrum, podstawy myślenia. Rosja, o obszarze przekraczającym 12 milionów km. kw., z ludnością przynoszącą cyfrę 165 milionów głów, kierowana jest przez dyrektora, tak staromodny i pierwotniacki w swoim charakterze jak jakaś republika południowoamerykańska, rządzona przez Generalną klikę albo starożytny gród grecki, władany przez tyra. W systemie sowieckim nie ma żadnej celowej, naukowej organizacji. Nie widać w niej żadnych odruchów, refleksji i zastanowienia. Posiada ten system tylko partje komunistyczne — co równa się ignorancji i tępocie dogmatyzmu. Rosja jest olbrzymem — mówię tu o strukturze społecznej a nie o jednostkach i osobach na szczytach — z głową salamandry.

I w tem leży absurdalność sytuacji Sciwłós. Niestety, nikomu nie przyjdzie na myśl, ażeby stan taki uważać za nonsens. Kraj cały żyje dalej rozpędem myślowym Lenina i demokratycznego socjalizmu XIX w. Gdy wyczerpie się ten rozpęd, nie będzie się można oprzeć na niczem, nie zostanie nic poza śmieszniemi pretensjami i ambi-

cyjkami rządów osobistych, takich czy innych figur

Obecny spór stalinistów z trockistami um. żywiła nieobecność i brak zbiorowego mózgu, a raczej jego części myślicy cerebrum. Nie zetknąłem się nigdy z Trockim, ale zdaje się, że człowiek ten jest wyposażony w spory zasób próżności. Stalin podobał mi się z rozmowy. Nie uważam, ażeby posiadał on wybitny umysł, ale zdaniem mojem, jest to osobnik szczerzy, silny, ludzki. Rozczarowałem się do niego głównie z racji jego durnych filmów uprawiających propagandę jego własnej osoby, jak np. «Lenin w październiku». W filmach tych celowo i świadomie pomniejsza się Trockiego, a wyolbrzymia Stalina do roli wszechwładzącego bohatera bajki. Górąje on nad Leninem. Skromnie ale stanowczo pokazuje Leninowi punkty na mapie i powiada, co należy robić. Najwidoczniej Stalin próbuje wypaczyć i przniecać całą historię rewolucji w celu wyniesienia swej osoby na szczyty sławy.

Dlaczego ci dwaj wspomniani aktorzy zachowują się w ten sposób? Najwidoczniej pozują dla historii i potomności. Tego rodzaju chwytły były nieznane Leninowi. Był on człowiekiem nowego ładu. Ale zarówno Trockij jak Stalin są dzisiaj w średnim wieku, i pozostało im niewiele już czasu, w którym mogą przynieść światu coś nowego w darze. Dlatego rozdrabniają się na takie sztuczki, trwonią swoje talenty. Zachowują się równie bezsensownie jak Mussolini. Mało istot ludzkich osiąga dojrzałość przed trzydziestą piątą wiosną życia, a większość zachowuje do końca żakowskie nawyki. Czy ludzie ci nie rozumieją, że nawet jeżeli przejdą do historii, to jednak — w przyszłości kipiące nowymi zagadnieniami — napewno zostaną surowo ocenieni i źle osądzeni? Nikt nie będzie miał czasu na czytanie o nich takich tomów. Legendy i marzenia, jakie żywi, oczekuje dwójki los: jeżeli św. at nie nawróci się na ich wiarę teraz, pójdą oni, wraz ze wszystkimi co było w komunizmie ludzką wiarą, w zapomnienie, jeżeli zaś świat przystosuje się do nowych warunków i możliwości, a imiona ich pozostaną w pamięci, bardziej dojrzała bogini, bardziej po maturalnym poczynając sobie pani, bogini historii Clio, zabierze się ostro do aktorów dramatu, przetrzepie im skórę i postawi ich na właściwe miejsce.

Zdumiony jestem tego rodzaju osobistymi rozgrywkami, zdziwiony jestem, że wszyscy komuniści, — w każdym razie poza obrębem Rosji, — zarówno wodzowie jak szeregowcy, nie są całkowicie zdolni do unikania łączenia się z tym czy innym obozem. Albo przylgają się do tego czy innego odłamu, albo porzucają całkowicie myśl o zdaniu rewolucji. Tak zupełnie są oni zdani na łaskę i niełaskę, tak zależni od zachowania swojego wielkiego człowieka. Jest to dziecinna. Człowiek wyznający wiarę w nowy porządek świata — jeżeli kiedykolwiek ma on być osiągnięty — musi nauczyć się sztuki marszu naprzód bez wodzów, tak jak musi się nauczyć sztuki uczciwego życia bez Boga.

Cóż dzieje się z organizmem Rosji, który tracimy z oczu w zamieszaniu bi-jatyki? Walka ta zaciera się tak bardzo do osobistych porachunków, że być może, iż dzieją się na marginesie jakieś ważne zdarzenia. Być może, że w tej kwestji życzenie moje daje początek myśli, ale w każdym razie sądzę, że przywrócenie w ciągu najbliższych paru lat myśli w Rosji jest rzeczą możliwą. Rosjanin, który podobnie jak Anglik czy Amerykanin, wyrastał w atmosferze miłego bezpośredniego ucisku systemu militarnej, jest istotą mniej potulną aniżeli Niemiec. Jest w tym narodzie, znacznie mniej strzeżonym i pilnowanym, niewytrzebiona wola śmiechu i humoru. Dojrzewa on prędzej. Nie przypuszczam ażeby chociaż przez chwilę rząd hitlerowski tolerował opowiadania typu Michaiła Zoszczenki, o we popularne gawędy, które ośmieszają w najwzelszy sposób słabości i braki rządów sowieckich. Śmiech potrafi przelać kraty więzienne, potrafi pokonać i rozbić zakazy. Pisarze rosyjscy pozwalają sobie na swobodę.

Umysł rosyjski jest umysłem nieopornym i bezładnym, nie dającym się ujarzmić. Ta zaleta i ta wada mogą stanowić dwa oblicza tej samej właściwości. Umysłowość rosyjska potrzebuje dalej opanowania i powściągnięcia bardziej zdyscyplinowanej inteligencji zachodniej — nie dostaje jej dalej tej cnoty. Posiada ona odwagę i nieodpowiedzialność, którą uważamy za cechy geniuszu. Wyzwolenie się umysłowej siły Rosji, która to siła odpowiadałaby i szła równoległe do objawienia się na Zachodzie prób reorganizacji życia zbiorowego, stworzenia nowych form wiedzy i myśli — mogłoby mieć wielce podbudujący wpływ na myśli i wolę żyćciową, na decyzje i stanowisko całego świata. Byłoby to zdarzenie olbrzymiego znaczenia w myślowej przebudowie ludzkości. I w blasku tego początku nowej ery, w jaśni tej jutrzni nie zauważony nawet, że partja komunistyczna, że cały Komintern, zbyt cianzy, zbyt nieszczerze dogmatyczny i — znanadto sprytny, ale nie tak znou jak sam myślı — znikły i przepadały bez śladu i żalu. Przypuszczam zresztą, że taki los czeka je prędzej czy później. Losu tego uniknąć nie potrafią.

H. G. WELLS,
przełożył
ZBIGNIEW GRABOWSKI.

AKTUALNOŚCI POLITYCZNE I WOJENNE

NA MARGINESIE PRZESILENIA GABINETOWEGO

PSYCHOLOGIA POLITYCZNA FRANCJI

Opisany wpięknym scenariuszu, która zresztą prawie za każdym razem jest ta sama. Zaczyna się od długiego, nocnego posiedzenia w izbie lub w senacie o wysokim ciśnieniu atmosferycznym. Burza wisi w powietrzu. Nastroj na sali przypomina atmosferę sensacyjnego procesu i pola wyścigowego. Zwarte grupy posłów rozprawiają gorączkowo w kuluarach. Ostatnie słowa premiera i oponentów unoszą się jeszcze pod kopułą amfiteatru, jak bliski skrzyżowanych szpad. Głosowanie: długie, nużące, wśród trzasku pulpitów i podwodzi prognostyków. Potem monotonny i nieco zmęczony głos przewodniczącego izby oznajmia fatalne cyfry. Premier i ministrowie wsiadają do samochodów, aby natychmiast złożyć dyktando Prezydentowi Republiki. Część dziennikarzy pędzi do budek telefonicznych, aby zdać sprawę redakcjom, część rzuca się do samochodów w pogoni za ministrami. Galopada przez pustą i zalane światłem księżycą ulicę Paryża. Trzask magnezji przed Pałacem Elizejskim, zapory ognia aparatów fotograficznych. Nazajutrz tłuste, ogromne litery na pierwszej stronie dzienników: «Przesilenie gabinetowe».

A teraz nieco statystyki, tego jednego elementu, dzięki któremu — Valéry dixit — historia może pretendować do wiedzy ścisłej. W kalejdoskopie politycznym Trzeciej Republiki przesunęło się podzieliście 106 gabinetów. Średnia długość życia ministerium wynosi pół roku. W dziejach parlamentarzysty francuskiego znajdują się jednak wyjątki od tej zasady: długowieczne gabinety-mamuty (rząd Combes'a — powyżej trzech lat) i efemeryczne gabinety-żółki — jednodniówki (rząd Buissona — cztery dni). W ciągu ostatnich czterdziestu lat tylko Poincaré, Laval, Blum i Daladier byli u steru rządów powyżej roku.

Zjawiska tego nie można sobie wytłumaczyć bez znajomości psychologii politycznej Francji, posiadającej swe specyficzne prawa, na którą złożyła się wraz z pierwiastkami charakteru narodowego narastająca siła starca stuleci.

Montaigne, jeden z najbardziej typowych przedstawicieli umysłu francuskiego, poddawszy analizie w swych «Próbach» splot spraw ludzkich i boskich, pyta w końcu o bolesną mądrość: «Que sais-je?». Descartes, pogromca scholastyki i niejasności, czyniąc «tabulą rasą» z dotychczasowych pewników, buduje swą metodę na założeniach oczywistych, których *zdrojny sens* nie ulega wątpliwości. Mówi więc: «Myślę, więc jestem». Te dwa krótkie zdania dwóch myślicieli odzwierciedlają najpełniej dwa pokrewne bieguny myśli francuskiej: sceptycyzm i krytycyzm.

Francuz nie znosi ustalonych kanonów. Dzieje myśli francuskiej, to proces harmonijny, lecz stalego przewrotowości i wrażliwości. Owa krytyczna analiza nie ma jednak w sobie nic z rosyjskiej nihilistycznej i destrukcyjnej pasji niszczenia. Umysł rosyjski, poddający wartości krytyce, zmierza do stworzenia jakiejś moralnej próżni Torricellego, chce żyć w atmosferze absolutnego zera, poza dobrem i złem. Rosjanin nie dąży do zmian w hierarchii wartości, chce choć wycisnąć z pojęcia hierarchii. Umysł niemiecki, krytykując wartości, rozszepca je na czworo («philosophische Haarspaltereien») i jest nieprześcigniony w fabrykacji abstrakcyjnych fikcji, szkieletów słów i formuł, często czczych i bezużytecznych.

Proces krytyczny u Francuza posiada swój odrębny ciężar gatunkowy. Jeżeli Francuz burzy kanony, jeżeli chce żyć zarówno poza dogmatyką jak i sofistyką, czyni to z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że obawiając się, by dogmat nie przeistoczył się w wyartyficyzowany, stara się co pewien czas napędzić go nową treścią odpowiadającą twórczej ewolucji życia. Jest to postulat francuskiego zdrowego sensu. Po drugie dlatego, że nie

chce, by człowiek — twórca zasad — stał się koleją ich niewolnikiem, a więc jeńcem nieużytecznego fetyszu. Jest to postulat francuskiego poczucia wolności. W sumie, krytycyzm francuski, postępujący jest tym niezawodnym sprawdzianem, jakim jest kartezjański «bon sens», stanowi zdrowy i konstrukcyjny proces wydzielenia przez organizm i niszczenia formuł nieżyjących lub tyranicznych.

Wychodząc z tego założenia Francuz nie uznaje ani sekciarskiego fanatyzmu, ani kwietystycznej ospałości. Indywidualizm francuski, temperowany klimatem umiarkowanym i harmonijnym ukształtowaniem geograficznym kraju, nie wyrodzi nigdy w obrazoburczy lot w krainie wątpliwego «nadczłowieczeństwa»: w nietscheizm lub w dostojowe fanatyzmy. Francuz, to autentyczny dziedzic myśli greckiej. Platonski ideał człowieka «kalos kagatos» — znalazł odpowiednik w ideał francuskiego XVII w.: «honête homme». Jedyna na przestrzeni dziejów myśli francuskiej walka z indywidualnością, to tragiczne zmaganie się Pascala z torturującą go, hipertroficznie własną osobowością, z owym demonicznym «moi haïssables».

Krytycyzm francuski ujawnia się w polityce w sposób bardzo charakterystyczny. Francuz nie uznaje w tej dziedzinie ani namaszczenia, ani świętości. Publiczność, prasa i scena pokpiwają sobie często z najwyższych dygnitarzy, czyniąc to jednak z taktem i w granicach dobrego tonu. Jakże dalecy jesteśmy na gruncie francuskim od ostatnich piętnastu lat w Polsce, kiedy krytyka drobnego kacyka prowincjonalnego stanowiła już «crimen laesae Majestatis». Bronzonicy wszelkiego kalibru, zawodowi pobielacze patny, zwolennicy zasady eklezjastycznej nie szargają nie mieliby we Francji wielkiego pola do popisu. Francuz jest nacjonalista, ale antytradycjonalista, w przeciwnieństwie do Anglika, tradycjonalista, ale niezbyt zagorzałego nacjonalisty. Krytycyzm ten objawia się następnie jeszcze inaczej. Każdy Francuz — zofer, adwokat lub praczek — osądza wypadki tak jak gdyby on był arbitrem posunięć rządowych i zależnie od głosu swego rozsądku wydaje opinie. W warsztacie szewskim, przy szynkwiasie bistra, w pogawrocku rolników, ferują się wyroki śmierci na rząd, *Francuz nigdy nie chce być przedmiotem, lecz podmiotem polityki*, a cała historia wewnętrznej polityki francuskiej, to walka o emancypację osobowości obywatelskiej. Wreszcie trzeci ciekawy rys — opinia publiczna — ewoluje szybko i pozostawia rządowi stosunkowo mało kredytu. Jeżeli jakiś akt rządu nie znajduje uznania w oczach Francuza, wówczas zmienia gabinet i rozpoczyna *nanouvo*. Zresztą szybka, a nieraz niezastąpiona zmiana gabinetu jest doskonałą kląpą bezpieczeństwa dla namietności w rękach mas, które znajdując w rządzie kozła ofiarnego, dają wolne uściski nasti rozchodzącej się w ten sposób nieszkodliwie po kościach.

Z krytycyzmem indywidualizmem Francuza idzie w parze jego idealizm polityczny. Francuz widzi wszystko przez pryzmat ideał urastającej do rozmiarów «sprawy». Ideologia — w najszerszym znaczeniu tego słowa — stanowi kanwę francuskiego politycznego sposobu myślenia. Tworzy więc partię, wyposaży ją w program, i tem tłumaczy się plejada większych lub mniejszych grupowań politycznych.

Najważniejszym rezultatem tego rozprósowania politycznego Francuza na terenie parlamentu nie stało i zamazane koalicje polityczne, konstatacje o charakterze mgławicowym i zmiennej eklezjacji, bezustanne fluktuacje ludzi i myśli. Nie sprzyja to naturalnie trwałości rządów. W ten sposób powstaje znaczny margines dla gry, która w gorwie dziennikarzy parlamentarnych nosi nazwę «obrabiania kuluarów», dla poufnych rozmów w kulisach

lub wewnątrz okien, dla zręcznego manewrowania większością.

Nasza anatomia polityczna narodu francuskiego byłaby niekompletna — gdybyśmy nie podkreślili jednej z najcharakterystyczniejszych cech umysłowości Francuza: — jego instynktownego obawy przed autokratą, «absolutem dominium» władzy wykonawczej. Ten rys charakteru francuskiego przypomina nieco obawę szlachty polskiej, która chciała salwować «złotą wolność», obwarowała ją przed zakusami monarchy zasiękami «pactów conventuum» feudalizmu i restauracji, hiperreakcyjnego ultramontanizmu, Napoleona Wielkiego i Małego, Francuz wychodzi z założenia, że aby uchronić wolność przed zamachem, nie można grzeszyć nadmiarem środków ostrożności. Antycypując niejako pojawienie się gen. Boulanger i nieudany pucz prawicowy z dn. 6 lutego 1934 r., Francuzi zaopatrzyli swą konstytucję w wilcze dółki przepisów gwarantujących absolutną hegemonię parlamentu, ustanowili pretorjano *régime'u*, «Gwardję Republikańską», dali duży wpływ senatowi, przedstawicielom wsi, uniemożliwiającemu zbyt radykalne skoki w prawo lub w lewo. Antagonizm między marszałkiem Mac Mahon a izbą, który wyłonił się w okresie zakłócenia Trzeciej Republiki, dn. 16 maja 1884 r., przybrał charakter próby sił. «Le gouvernement doit se démettre ou se soumettre» — powiedział wówczas Gambetta, przedstawiciel parlamentu. Mac Mahon musiał ustąpić. Od czasu tego klasycznego precedensu, podczas którego parlamentaryzm francuski zdał chlubnie egzamin swjej żywotności, wszelki powłoki konflikt o prerogatywy między władzą ustawodawczą a wykonawczą stał się we Francji rzeczą prawie nie do pomyślenia.

Jest okolicznością zasługującą na podkreślenie, że wszystkie francuskie partie polityczne — z wyjątkiem nielicznej grupy zacietrzewionych monarchistów — wywodzą swój rodowód z wielkiej rewolucji. «Sakiewka Francuza ciąży na prawo, lecz jego serce prowadzi go na lewo» — głosi trafne powiedzenie ludowe. Zdobycie Bastylji, huk armat spod Valmy, barykady z «Trois Glorieuses», postać Gavruche'a, epopea komuny paryskiej, to nie tylko jakieś zużyte klisze, sentymentalne «images d'Epinal», ale wiecznie żywa i pulsująca krewią mitologią, która wycisnęła niezatarte piętno na francuskim sposobie ślania i życia. Może najważniejszą cechą umysłowości politycznej Francuza jest ta jej właściwość, że idea ożywczy sprężyła się w jego umyśle nierozdzielnie z ideał wolności i sprawiedliwości społecznej i że z abstrakcyjnej formuły — przeistoczyła się w żywy twór, dyszący codziennie, aktualną treścią: prawem głosowania, wolnością słowa i druku, 40-godzinny dzień pracy. Poważna część zasługi za ów demokratyczny rys psychologii narodu spada na świecką szkołę powszechną, na tysiączne szare masy bezimiennych wychowawców, wpajających w swych uczniach wraz z pierwszymi literami alfabetu podstawowe pojęcia deklaracji praw człowieka, ducha obywatelskości i tolerancji.

Francuskie obyczaje parlamentarne ściągają na siebie w ostatnim czasie gorący k.y.y.k. Tardieu ogłosił w tej sprawie cykl książek, zawierających poważne zarzuty pod adresem ustroju, który — według niego — waworyuje salwę i rozpryszenie. Inny krytyk nazwany Trzecim republikanem «La République des Camarades» jeszcze innemu wreszcie wytuje się, że we Francji zarysowuje się zębna ewolucja podobna do tej, jaka biega od opowiadanej demokracji ateńskiej Peryklesa do demagogicznej oklokrajki Kleona, uśmiechniętej przez Arystofośa.

Bez wątpienia, w zarzutach tych mieści się część prawdy. Podobnie jak o wykonywaniu sprawiedliwości nie tyle decyduje litera ustawy ile duch, który za nią stoi, jej praktyczna wykładnia, tak o demokracji nie stanowi artykuł konstytucyjny, ale atmosfera którą owiane jest jej wykonanie. Światłe umysły Francji zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, i — jesteśmy przekonani — potrafią mu w porę zapobiec. Istnieją jednak dwie przyczyny, które nawet w istniejącym systemie znacznie zmniejszają, a może nawet znoszą ryzyko, jakie pociąga za sobą stosunkowo częsta zmiana rządów. Pierwsza przyczyna, to fakt, że Francja posiada doskonałą armaturę, którą stanowi świetny aparat urzędniczy o wysokim poczuciu odpowiedzialności. Ministrowie odchodzą, ale fachowy sztab pozostaje. Druga przyczyna jest znacznie istotniejsza. Mimo częste przychylki i odpływy gabinetów, polityka francuska pozostaje ta sama w swej zasadniczej wytycznej. Od Richelieu do Bluma kamieniem węgielnym francuskiej racji stanu jest *bezpieczeństwo* i jego geopolityczny odpowiednik — *ostojność linii Renu*, owej otwartej bramy wypadkowej na pola i winnice Francji. Przesłanką tej polityki nie jest jakiś imaginacyjny imperializm, ale doświadczenie dziejów, tysiąc pięćset lat historii Francji, na której przestrzeni wszystkie niebezpieczne najeźdy przybywały od nizin Germanji. Każdy francuski polityk, bez względu na sztyl partynijny, instynktownie rozumie ducha dziejów Francji, a dzielące ich różnice polegają raczej na rozbieżności głoszonych przez nich metod, zmierzających wszakże do realizacji wspólnego celu.

Jeżeli więc znajdujemy te ludzie, którzy na widok zmiany rządu we Francji rozdzierają szaty i przebąkują o rzekomej kadencji obyczajów parlamentarnych, uśtykiwania te świadczą o głębokiej ignorancji francuskiej psychologii politycznej. Ostatnia zmiana rządu we Francji, która dokonała się w atmosferze pełnej godności i taktu, świadczy nie tylko o ciągłości myślistwej państwowej, mimo zmiany lub przystawień osobowych, ale dowodzi również żywotności parlamentarizmu, nawet w tej Sewilli i Charybdzie, jaką jest dla niego wojna.

JULIUSZ GROT.

GŁOSY ŚWIATA

NIEWOLNICTWO

Dn. 21 marca b. r. dostojne grono bliskich dwóch setek gentlemanów, uczestniczących w przyjęciu wydanym na cześć gen. Władysława Sikorskiego przez paryski «American Club», przyżyło przykrą chwilę.

Starsi i młodszy Amerykanie, należący do «American Clubu», wytwornego stowarzyszenia, grającego wielką rolę w amerykańsko-francuskich stosunkach kulturalnych, urządzają dość często przyjęcia na cześć wybitnych osobistości, przebywających w Paryżu, i — jak chce zwyczaj — gość «American Clubu» wygłasza do współbieżsiadników przemówienie.

Często na terenie «American Clubu» przemawiają członkowie i nawet szefowie rządów, możność bezpośredniego kontaktu z wybitnymi przedstawicielami amerykańskiego świata finansów, przemysłu, prawa, nauki, literatury, prasy i t. d., których «American Club» grupuje, ceniona jest wysoko, ale na ogół mówcy na tych przyjęciach oszczędzają nerwy swych słuchaczy. Wytworni i zażywni panowie z «American Clubu» reprezentują przeciętne zarówno moralną jak i materialną «prosperity», lubią się czasem wzruszyć, ale nie są przyzwyczajeni do tego, by im przed oczy stawać obrazy straszliwe, widma mogące napastować ich po nocy.

Gen. Sikorski natomiast nie oszczędzał nerwów swoich amerykańskich słuchaczy. Otwarcie mówiąc o tem co się dzieje w Polsce, rzucił zadowolonym z życia Amerykanom pytanie:

— Na kogóż teraz kole?

Przeprowadzając analizę wyprawy po zdobyc, przedsięwziętej przez «germański totalitarny bolszewizm», gen. Sikorski określił tożsamość walkę jako zmagania się narodów o wolność i poprostu, o własną wolność, zagrożoną zamachem sprzymierzonej siły pruskiej zachłanności i azjatyckiej dzicy, zamachem na wolność *wszystkich*, bo *wszystkie* narody zagrożone są niewolnictwem, i dlatego gen. Sikorski zakończył zachowaniem popularnej prostoty amerykańskiej: «We must all hang together, lest we hang separately»! Przejęteli niewykłęk, jak na to dostojne zgromadzenie, bo mocnemi i długotrwałymi oklaskami.

Niewolnictwo! Tak, to słowo padło, padło już z łamów wielkiej prasy brytyjskiej i amerykańskiej. Nie tylko niewolnictwo, pojęte jako przeciwstawienie pojęcia wolności, jako przenośnia — o! — nie, bynajmniej, gen. Sikorski określił bardzo wyraźnie o co chodzi, cytując okólnik Göring'a, stosowany przez wielkoprzedstawiciela Francuza, Chodźi właśnie o istotne wprowadzenie niewolnictwa, bo Göring nakazał przewiezienie do robot przemysłowych w Niemczech *miliona* robotników, w tem polów stanowią młode kobiety, jak stwierdził najbardziej autorytatywnie i publicznie szef rządu i wojska Rzeczypospolitej.

Wywołał dreszcz wśród swych amerykańskich słuchaczy, tak samo jak dreszcz przejął brytyjskich czytelników sekretarz generalny Ligi Zwalczenia Niewolnictwa, sir John Harris, który w zacytowanym telegraficznie ogłoszeniu i doskonałym udokumentowanym artykule, udowadniając — z ludzkiego i prawnego punktu widzenia — że Göring wprowadził niewolnictwo, łamiec jeszcze jedną konwencję, pod którą widnieje podpis niemiecki, a mianowicie światową konwencję o zwalczaniu niewolnictwa z 1926 r. wraz z uzupełniającym ją konwencją o zakazie robot przemysłowych (1932), o werbunku sił roboczych (1936) i o kontraktach pracy (1939).

Nie ulega wątpliwości, że pozbawienie miliona Polaków, mężczyzn i kobiet, wolności osobistej i użycie ich do robot przemysłowych w miejscu samowolnie wyznaczonego przez Niemców, jest rzeczą pilną, może *część przynajmniej* da się uratować. Oczywiście, nie wolno się ludzi, ale przeciw konwencji znamiennej obecnie przez Göring'a i Seldtego są zupełnie świeżej daty, delegaci niemieccy podpisali ją dozwolnie i brali udział w redagowaniu ich postanowień, a wśród sygnatariuszy, którzy nie tylko podpisałi, ale i wcieli republik południowoamerykańskich, są Stany Zjednoczone, są Włochy, są

całkowicie przez «pacy» — jest zupełnie świadomym wprowadzeniem niewolnictwa w najbardziej pierwotnym tego słowa znaczeniu. Mamy dowód niezbity, że rząd Rzeszy zdaje sobie z tego sprawę i że niewolnictwo wprowadza świadomie, uważając że narody podbite muszą pracować dla Niemców, jak dla zdobywców starożytnych, jak murzyni dla kolonistów trzech ubiegłych wieków. Dowodem tym jest artykuł, ogłoszony w göringowskiej «Essener National Zeitung», podpisany imieniem nazwiskiem i tytułem urzędowym niemieckiego ministra pracy, Franza Seldte.

Seldte przyznaje, że wydał organom policyjno-administracyjnym na zajętych obszarach Polski polecenie «sprowadzenia do Rzeszy i skierowania do robot rolnych» miliona Polaków płci obojga. Jedynym usprawiedliwieniem tego zarządzenia jest potrzeba robotników do uprawy roli i fakt, że robotników tych Rzesza nie może dostarczyć, gdyż «Niemcy są zmobilizowane». Seldte udawadnia obszernie, że i przed wojną nigdy Niemcy nie miały dość rąk do pracy na roli i dlatego zawsze sprowadzali robotników rolnych do robot sezonowych, przeważnie z Bułgarii, Włoch, Siedemdziesiątych tysięcy robotników rolnych przyjeżdżało co roku z Polski. Obecnie — skoro snowodu wojny emigracja sezonowa odbywać się nie może — muszą ją zastąpić polscy niewolnicy. Krótko i wesoło — «muszą»!

Bezwydnie rozwija minister Seldte tę najpotworniejszą chyba prawdę czasów, w jakich żyjemy. Uważa za swoją i swego mocodawcy Göring'a, zasługę, że w ten sposób zdołał rozwiązać trudne zagadnienie dostarczenia rąk roboczych rolnikom niemieckim. «Każy» — powiada — rolnik otrzyma potrzebną ilość robotników. Będą mu dostarczeni (!) na miejsce... Podobnie i tu odsłania cynicznie nową nikczemność niemiecką — jak już na jesieni, do kopania kartofli i buraków, byli mu dostarczeni polscy *jeńcy wojenni*...

Wolno uważać artykuł min. Seldtego za dokument oficjalny, wolno go dobrze zachować i przedstawić rachunek, kiedy czas potemu nadejdzie. Trzeba jednak wraz z sir Johnem Harrisem żądać interwencji państw neutralnych w Niemczech, dopóki jeszcze ten milion niewolników nie wygnął z głodu i chorób, dopóki jeszcze nie szczęście i nędza wśród rodzin polskich, którym w najcięższych czasach zabrano żywność, nie przyniosły powszechnego panowania śmierci. Bo jest w wywodach sir Johna Harris'a jedno wstrząsające wyliczenie: «Na obszarach polskich, zajętych przez Niemców», — pisze on, — może zamieszkać najwyżej dwadzieścia milionów ludności, napewno nie więcej niż pięć milionów rodzin. Schwytanie i wywiezienie jednego z żywciami na pięć rodzin barbarzyństwem, niepraktykowanym nawet przez łowców czarnych niewolników wioskach murzyńskich środkowej Afryki. A jednak liczba miliona niewolników polskich, którzy mają być przewiezieni do Niemiec i «dostarczeni» («zengestellt») rolnikom niemieckim, wymienia on w oficjalnym rozkazie Göring'a, noszącym datę 15 lutego 1940 r. Po upływie zaś trzech zaledwie tygodni od tej daty, bo dn. 9 marca ukazał się już artykuł Seldtego w «Essener National Zeitung», zapewniający że z tej liczby siedemset tysięcy mężczyzn i kobiet «znajdzie się w posiadaniu» rolników niemieckich w dniach najbliższych. Dziś ci niewolnicy już pracują, napewno!

Interwencja więc państw neutralnych w Niemczech, o czem pisze sir John Harris, jest rzeczą pilną, może *część przynajmniej* da się uratować. Oczywiście, nie wolno się ludzi, ale przeciw konwencji znamiennej obecnie przez Göring'a i Seldtego są zupełnie świeżej daty, delegaci niemieccy podpisali ją dozwolnie i brali udział w redagowaniu ich postanowień, a wśród sygnatariuszy, którzy nie tylko podpisałi, ale i wcieli republik południowoamerykańskich, są Stany Zjednoczone, są Włochy, są

wszystkie państwa Skandynawji i Bałkanów. Czy nikt się nie odważy? — pyta sir John Harris. Czy nikt nie zdobędzie się na odwagę spełnienia podstawowego obowiązku już wcale nie ludzkiego obowiązku obywatelskiego wobec samych siebie, wobec uprawnionej sygnatariusza konwencji, która brutalnie podeptała?

Jeżeli zaś ktoś może mieć wątpliwości co do stanu prawnego, argumenty sekretarza generalnego Ligi Zwalczenia Niewolnictwa muszą je obalić. Uchwala o całkowitem zniesieniu niewolnictwa bez względu na jego formę, zapadła w Genewie na konferencji 36 państw z Niemcami włącznie. Podstawowe postanowienie konwencji, określające, co należy rozumieć pod pojęciem «stanu niewolnictwa», głosi, że «w stanie lub warunkach niewolniczych znajduje się osoba, nad którą częściowe lub całkowite uprawy, własności, wchodzące w zakres prawa własności, oddano innej osobie». Ściśle w ten sposób prawa przedsiębiorców niemieckich wobec polskich jeńców wojennych i cywilnych, przymusowo sprowadzonych robotników, określa Seldte.

Dalej, konwencja określa warunki «chwytania, zatrzymywania i rozporządzenia osobą z zamiarem skierowania jej do pracy przymusowej, które należy uważać za «slave capture» — w brzmieniu angielskim: «zdobywanie niewolników». Wszystkie te warunki zawiera ogólnie rozporządzenie Göring'a i Seldtego oraz rozporządzenie wykonawcze Franca, rozkładowane na murach polskich wsi i miast.

Nie mniej precyzyjnie stwierdza bezsporną winę wprowadzenia niewolnictwa przez rząd Rzeszy konwencje z 1932 i 1936 r. «Władza publiczna nie dopuści do wykonywania robot przemysłowych na rzecz osób prywatnych, spółek lub związków — brzmie postanowienie zasadnicze konwencji z 1932 r., dozwolnione przez Niemcy podpisanej i ratyfikowanej, a dotąd nawet nie wypowiedzianej, jak się to stało z rękodem o nieagencji z Polska. Tymczasem Seldte właśnie oświadcza, że dostarcza nie wolników rolnikom niemieckim, poszczególnym gospodarzom i zakładom przetwórczym».

Nie mniej wyraźnie brzmia zakaz zatrudniania jeńców wojennych, a nawet karnych, którzy skazani są za wykroczenia czy przestępstwa. Art. 2 konwencji z 1932 r. zakazuje «umieszczenia lub wynajmowania jeńców do rozporządzenia osób prywatnych, spółek czy związków».

Seldte rości zaś sobie szczególny tytuł do zasługi za to, że pierwsze kolony jeńców wojennych polskich już ubiegał jeńców kwaterował do kopania ziemniaków i innych robot.

Barbarzyństwo germańskie odsoniło się całkowicie. Chodzi nie tylko o zdobycie ziemi i jej bogactw, nie tylko o narzucenie własnej ideologii, ale o to, by ludzkość umieszczać na terenie nieograniczonego «Lebensrauma» obrócić w niewolników w najdosłowniejszym, bo — jak dowiodł rzeczoznawca — *prawem* tego słowa znaczeniu.

Dlatego w tak przejmującej ciszy słuchali dwie setki Amerykanów gen. Sikorskiego, kiedy im mówił:

— Od lat trzech wolne i niepodległe państwa stawały się zdobyczą Niemiec. Jedne ulegały groźbom, przez zdradę rosyjską... Austria, Czechosłowacja, wreszcie Polska... Niedawno — nowa ofiara spisku niemiecko-bolszewickiego — Finlandia... Niebezpieczeństwo jest coraz bardziej oczywiste... NA KOGÓŻ TERAZ KOLEJ?... Nadeszła chwila, w której wspólne niebezpieczeństwo, zagrażające wszystkim wolnym narodom, powoduje konieczność ścisłego porozumienia, połączenia sił materialnych i moralnych... «we must all hang together, lest we hang separately».

OBSERVER.

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS
123, Boulevard Saint-Germain, Paris (VI^e)

Tel.: DAN. 04-42

MÉTRO: Odéon lub Saint-Germain-des-Prés

POLECA KSIĄŻKI W JĘZYKU POLSKIM I FRANCUSKIM PO CENACH ŚCIŚLE KATALOGOWYCH

OBCENIE POSIADAMY NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PODRĘCZNIKI DO NAUKI OBYCH JĘZYKÓW:

- 1000 słów po francusku. Najłatwiejszy samouczek języka francuskiego w 34 lekcjach z 94 ilustracjami. Opracowali C. Buchholtz, dr. E. Wallenberg i M. Goryński fr. 100.—
- Z. FRENKIEL — Mówmy po francusku. Wyd. trzecie... fr. 24.—
- B. HAMEL — Le français moderne à l'usage des Polonais. W oparciu kartonowej (ukazuje się w najbliższych dniach) Paul HARDY — Moja metoda. Najłatwiejszy i najnowszy podręcznik do nauki języka francuskiego. W oparciu kartonowej (ukazuje się w drugiej połowie marca).... fr. 24.—
- S. W. PIWAR — Praktyczna metoda języka angielskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela..... fr. 36.—
- B. HAMEL — Podręczny słownik francusko-polski i polsko-francuski z wymową fonetyczną. Część I: francusko-polska fr. 65.—
Część II: polsko-francuska fr. 65.—
- J. STANISŁAWSKI — Słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Oprawa płócienna. Całość w jednym tomie.... fr. 100.—
- Prof. M. H. DZIEWICKI — Słowniczek-karzelek polsko-angielski i angielsko-polski, z wymową. W oparciu płóciennym..... fr. 27.—

Ponadto posiadamy na składzie bogaty wybór słowników obcojęzycznych oraz książek ze wszystkich dziedzin. Na żądanie katalogi polskie i francuskie bezpłatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.

ZWRACAJ SIĘ Z PEŁNĄ ZAUFANIEM DO KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU

UKRYTE CELE PAKTU Z 1934 ROKU

Było to na «Reichsparteitagu» w Norymberdze we wrześniu 1936 r. Znalazł się tam wśród zaproszonych dziennikarzy zagranicznych. Przez cały tydzień, mieszkając w wagonie sypialnym, stojącym na stacji, musiałem wysłuchiwać nieskończoną ilość stereotypowych przemówień propagandowych i przyglądać się nieskończonym defiladom poszczególnych formacji partyjnych. Było to tak nużące, że po pięciu dniach dosłownie ucieklem, zatrzymując się w powrotnej drodze do kraju w uroczaj katolickiej Bamberdze. Dawno nie słuchałem z takim nabożeństwem kazań, jak wówczas; chodząc do słownictwa z kościoła do kościoła (była niedziela), by dzięki słowu Bożemu i widokiem rozmodlonych tłumów zagłuszyć wstrętne norymberdze. Szkoła pięknej Norymbergi na takie widowiska.

Pewnego wieczoru ambasador niemiecki w Warszawie von Moltke zaproponował mi wiedzienie obozu zmotoryzowanej bojówki, t. zw. NSKK. W namiocie «Korpsführer» Hühnele czekało nas gościnnie przyjęcie. Gdy tylko obecni tam przywódcy bojówki — a był między nimi S.A. Obergruppenführer (generał) Offermann — odwiedzili się, że jestem Polakiem, otoczyli mnie niezłocznie z obzornymi kufkami piwa w rękach i zaczęli mi klarować bez ogródek właśnie cele umowy z 1934 r., zawartej pomiędzy «naszym Führerem» Adolfem Hitlerem a waszym wodzem Józefem Piłsudskim». Umowa ta w myśli moich rozmówców miała być wstępem do ścisłego sojuszu, mającego na celu wspólny podbój ziem wschodnich «co najmniej do Dżyny i Dniepru». Niemcy mieli pomóc w «przywróceniu Polski od morza do morza». Mówili oni z największą pogardą o Sowietach. Państwo to — ich zdaniem — nie wytrzymałoby naporu «kolosalnej» siły zbrojnej, jaką przedstawiałyby

połączone armje polska i niemiecka, któreby się wzajemnie uzupełniały. Niemieckie kolony pancerne posuwałyby się po drogach, a polska jazda i piechota — po bezdrożach! Po zajęciu dostatecznych dla potrzeb przestrzeni życiowej obszarów, ich ludność tubylcza, z wyjątkiem Polaków i Niemców, zostaby wysiedlona «na wschód», poza granice zajętych ziem. «Za Uralem dużo miejsca» — mówili gospodarze, trącając się wesoło kufkami. Potem nastąpiłby układ polsko-niemiecki o wymianę ludności. Polska odstąpiłaby Niemcom dzielnicę zachodnią wraz z Pomorzem, z obszarem dostatecznym dla umożliwienia szeroko zakrojonej kolonizacji niemieckiej, a wzięłaby sobie w zamian znacznie obszerniejsze połacie Ukrainy i Białorusi oraz Litwę kowieńską. Niemcy miałyby się zobowiązać do najdalszej pomocy technicznej i finansowej w przemieszczeniu ludności polskiej z dotychczasowych dzielnic zachodnich Rzeczypospolitej na wschód, w budowie miast, zakładów przemysłowych, dróg i kolei. «Zbudujemy wam tam ładniejsze Poznań, niż macie obecnie, uzyskamy w zamian potrzebne nam ziemie na wschodzie, zlikwidujemy wszelkie możliwe pomiędzy nami antagonizmy i stworzymy podwaliny pod wieczny sojusz wysoko urozemysłowionych Niemiec z bogatym krajem rolniczym; Niemcy-kolonizaci we wschodu wrócą wówczas do macierzy». Gały ten plan został mi tak zgodnie i tak konkretnie w szczegółach przedstawiony przez otaczających mnie zwartem kołem piewców, że nie mogłem wątpić ani na sekundę o istnieniu takiego oficjalnego projektu, usprawiedliwiającego w oczach szczytów partyjnych układ z Polska. Na moje powiedzenie, że taki plan jest dla Polski nie do przyjęcia, odpowiadano mi przy zdźwięku kufków, że widocznie jestem

ADAM ROMER.

Rysunki Feliksa Topolskiego z „Free Europe”



Hitler: — Czyż nie żal wam nieszczęsnej Polski? Dajcie mi pokój, kolonie, pieniądze, a rozluźnię więzy!



Świąteczna przypowieść na r. 1939 „Wstań a weźmij dziecię i matkę jego a uciecz”... (Mateusz II, 13)

From the press: — The Germans fear that one million Polish soldiers have thrown away their uniforms and hidden their weapons in readiness for the day of revolt against their oppressors



Not one, but 30 millions! (z prasy) „Niemcy obawiają się, że milion polskich żołnierzy, gotowych na dzień powstania przeciw oprawcom, zrzuciło mundury i ukryło broń”. Nie jeden, ale 30 milionów!



The most pathetic victim of the aggression Najżałośniejsza ofiara agresji

New item: — Red Cross Relief Workers are banned in conquered Poland



Halt! Compassion is not the password! (z prasy) „Pracownicy Czerwonego Krzyża nie zostali wpuszczeni do podbitej Polski”. Stój! MIŁOSIĘRDZIE nie jest hasłem!



FRZEN? Czy zamrożony?

O „WIADOMOŚCIACH POLSKICH”

W poprzednim (3) numerze «Wiadomości Polskich» (11 ilustracji): Antoni Słonimski: Niebo, Przypomnienie. — Rafał Maltcewski: Prawo człowieka. — Zbigniew Grabowski: Anglia patrzy na nas. — Aleksander Janta: Życie na froncie. Korespondencja z linii Maginot. Od pierwszego polskiego korespondenta wojennego na Zachodzie. — André Thérive, przeżyła Halina Wierzyńska: Wspomnienie o J. H. Rosnym, Artykuł napisany specjalnie dla «Wiadomości Polskich». — Marja Jasnorska: Szkicownik poetycki. — Aktualności Polityczne i Wojenne. J. K. Miłkusiński: Wojna i prawo: Artykuł 113 polskiego kodeksu karnego. Observer: Głosy świata: Patched-up Peace. Adam Sterbala: Rozmowy o wojnie: Czy możliwe jest rozstrzygnięcie w powietrzu? — P. Kranc: Publiczna spowiedź Gide'a. — T. N. Hudes: René Schickel. — Stefan Thernerson: Nowe filmy. — Rosjanin o Paderevskim. — Stefanja Szurlej-Kossowska: Uniwersytet Polski Zagranicą. Rozmowa z prof. Oskarem Haleckim. — Nieznany autor: Chopina. — Polonica. — Warszawa po bombardowaniu. — Extraits et résumés, en français, des articles paraissant dans ce numéro.

Adam Nowicki, korespondent chiagoskiego «Dnia Polskiego», swój list paryski z dn. 14 marca b. r. poświęcił «Wiadomościom Polskim». Czytamy tam m. in.: «Wiadomości Polskie», to Paryżowi tytuł znany. Za czasów starej emigracji mniej więcej przed osiemdziesięciu laty dawał dwa pisarzy polscy wielkiego talentu — Walerjan Kalinka, wówczas jeszcze człowiek świecki, i Julian Klaczko, publicysta polityczny i krytyk literacki na miarę europejską, piszący świetnie zarówno po polsku jak i po francusku, wydawali pod patronatem politycznym książkę «Wiadomości Polskie». Czartoryskich tygodnik był zakazany w Królestwie Polskim i — wydaje się — także w austriackiej Galicji. Ale przynajmniej ze słynienia był znany każdemu wykształconemu Polakowi. Potęga «Wiadomości Polskich» sięgała tak daleko, że krytyka słynnej powieści «Krewis Józefa Korzeniowskiego», napisana przez Juliana Klaczko, na długie lata przyciemniła blask nazwiska tego bezwarunkowo

wielkiego pisarza polskiego, ponieważ postawiła go poza nawias dobrych synów Polski, zarzucając mu rusofilstwo i bezwiedne uleganie wpływom rosyjskim. «Wiadomości Polskie» upadły z chwilą gdy właściwie upadły zryb dawniej emigracji i skończyły się wpływy obozu Czartoryskich. Walerjan Kalinka po ogłoszeniu konstytucji w Austrii i po spolszczeniu niemieckiej administracji Galicji wrócił do tej prowincji, został księdzem i zaczął pisać swoje znakomite dzieła historyczne. Później również i Julian Klaczko osiadł zrazu w Wiedniu, a potem w Krakowie. Przeżył on swego towarzysza o lat dziesięć. W nadaniu tygodnikowi tytułu «Wiadomości Polskie» widzi Adam Nowicki objaw «poszanowania tradycji narodowej» i życzy nowym «Wiadomościom Polskim» przejęcia także świetnej tradycji ich poprzedników. Spodziewa się zresztą tego: wydawane od 1924 r. «Wiadomości Literackie» musiały kupić obok siebie najlepsze współczesne pió

ra polskie. Nie robiono tam różnic partyjnych między pisarzami polskimi... czynnikiem rozstrzygającym był talent literacki. Dlatego też do «Wiadomości Literackich» pisywali Aleksander Świętochowski i Boy-Zeleński, Adolf Nowaczyński i Julian Tuwim. «Pierwszy numer «Wiadomości Polskich»... przedstawia się doskonale. Na szesnastu stronach wielkiego formatu wydawca i redaktor zgromadził wielką liczbę bardzo interesujących artykułów pióra wybitnych pisarzy. Ksiądz Augustyn Jakubiński ogłosił w tym pierwszym numerze artykuł «W obronie jednostki». Jest to początek krucjaty przeciwko totalizmowi, czy tym totalizmem będzie bolszewizm, czy faszyzm, czy hitleryzm. Ksiądz Augustyn Jakubiński postanowił nawet wydawać osobne czasopismo francuskie w Paryżu, poświęcone zwalczaniu totalizmu i obronie jednostki. Ksiądz Augustyn Jakubiński uważa totalizm za największe niebezpieczeństwo grożące ludzkości. Dalej znajdujemy wspomnienie syna o ojcu... artykuł

Karola Estreichera p. t. «Jak mój ojciec pracował nad bibliografją». Wnuk pierwszego bibliografa polskiego w duchu nowożytnym Karola Estreichera a syn zamordowanego niedawno przez Niemców Stanisława Estreichera, odtworzył z pamięci metody pracy bibliograficznej swego ojca Stanisława. Jest to wspomnienie, które raz na zawsze wejdzie do dziejów piśmiennictwa polskiego. Karol Estreicher wnuk stworzył swoim artykułem pomnik literacki dla ojca i dla działa. «Musiałbym przepisać cały numer «Wiadomości Polskich», aby wyczerpać tych kilkadziesiąt szkół literackich, starych i młodych, które złożyły się na ten pierwszy numer «Wiadomości Polskich». «W ustach takiego starego dziennikarza, jak piszący te słowa, będzie najwyższą, lecz całkowicie zasłużoną oceną następujące wzwanie: «Czytajcie «Wiadomości Polskie» od początku do końca. Zastępują na to całkowicie».

Korespondencja
Al. S. Z wiersza nie skorzystamy. Z. Sł. w Tours. Nie będziemy mogli skorzystać.
J. G. Nie będziemy mogli skorzystać. Irma K. Nie skorzystamy. J. Olg. B. w Coëtquidan. Za miłe słowa dziękujemy, niestety, fotografie nie nadają się do naszego pisma. J. K. w Coëtquidan. Nie skorzystamy.

W ANTWERPIJ
numery „Wiadomości Polskich” są do nabycia w księgarni „Progrès” (66 B, r. du Vanneau).

W LONDYNIE
w biurze M. I. Kolin, 36, Great Russell Street.

Redaktor: Zygmunt Nowakowski
Le gérant: Gabrielle Ricordeau

IMPRIMERIE COOPÉRATIVE ÉTOILE
18-20, Fbg. du Temple, Paris (11^e)